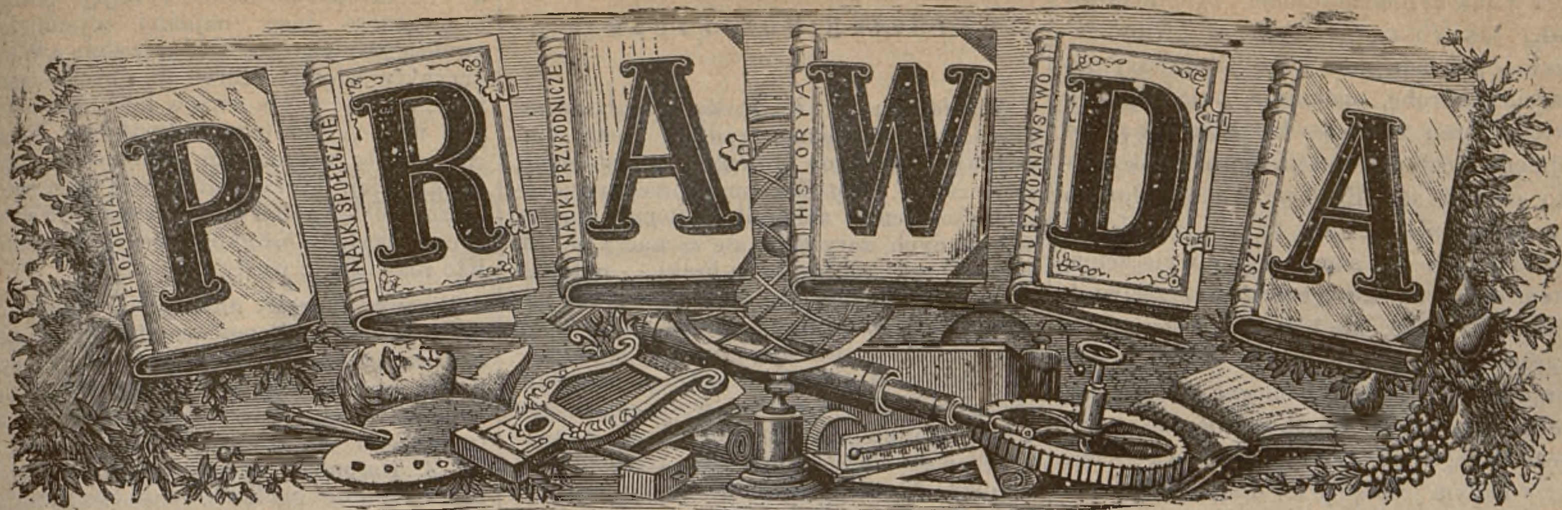
№ 7. Warszawa, dnia 18 (6) Lutego 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Pierwsze numery **Prawdy** ze stycznia wyczerpane; nowo przybywającym przeto abonentom dostarczyć ich nie możemy.

POLITYKA.

CHORY POKÓJ.

Nowoje Wremia, na kilka dni przed ogłoszeniem traktatu austro-niemieckiego, wypowiedziało następujące uwagi: „Może to sentymentalizm, ale doprawdy grozą przejmuje widok tego obrazu uzbrojonej Europy, który roztacza się coraz bardziej. Tłumy hunnów i barbarzyńców były ledwie zabawką dziecinną w porównaniu z tymi tłumami, jakie dziś trzyma Europa, opatrzywszy je najrozmaitszym i zadziwiającym arsenałem. Dokąd i przeciw komu mają być skierowane? Jakież to szczęście narodów wywalcza się tym orężem? Czy nienawiść ludzka stała się tak potężną, że każdy naród, w każdej godzinie, w każdej chwili musi być gotowym do wojny?" Być może, iż owa sprężyna, poruszająca tak niezmordowanie maszynę wojenną Europy, że owo źródło, z którego płyną obawy i chęci walki, dałoby się ochrzcić inaczej, że ono nie jest prostą nienawiścią; *Now. Wremia* wszakże, które nawet przypuszcza, że „ludzkość będzie szczęśliwą, gdy nie będzie znała polityki," epokę obecną oświetla dobrze. A nie zmieniła się ona wcale po ogłoszeniu traktatu i mowie ks. Bismarka, chociaż obu tym wytworom dyplomacyi niemieckiej nadano znaczenie pokojowe. Uznano je za rodzaj jadu, czy limfy, którą znakomity chirurg berliński wstrzykiwał pod skórę Europie dla zabezpieczenia jej od zabójczej ospy lub napadów wścieklizny wojennej. Wspomniany dziennik petersburski, plunąwszy na „mizerną Bułgaryę," niegodną tylu trosk a tem bardziej przelewu krwi, radzi odstąpić nawet od „kolosalnej kwestyi wschodniej." Bo — woła — „czyż świat zawali się już jutro i trzeba koniecznie spieszyć się z rozwiązaniem tej kwestyi? A niechaj ona przepadnie na wieki!" Niestety, ani na wieki, ani na tygodnie ona nie przepadnie; ale państwa w niej zainteresowane i wogóle miecz w ręku trzymające mogą go tymczasowo schować, nałożyć tłumiki na struny swych pragnień politycznych — nie spieszyć. Zdaje się, że w tej chwili jest to główny ich wysiłek. Ks. Bismark znaczną część swej ostatniej mowy poświęcił dowodzeniu, że od lat 40 wojna ciągle „wisi w powietrzu," że obawy z niej zrodzone tworzą „stan ciągły, nieustający," że Prusy a potem Niemcy wielokrotnie kuszone były do rzucenia się w bój, ale zawsze oparły się zdradnej pokusie. Kanclerz ogłosił ostrożność za swe hasło, które rozległo się wszędzie, gdzie tylko jego słowa dobiegają. „W r. 1870 — opowiada on — kupcy i przemysłowcy odwiedzali mnie i mówili: „Rozpocznijcie lepiej wojnę, bo ta niepewność jest nie do wytrzymania." Myśmy jednakże czekali, aż nas zaczepiono — i dobrze się stało." Niemcy więc „czekają" a z nimi czeka cała Europa, której one wzór dają. *Graždanin* tę samą myśl wyraża w fantastycznym opisie rozmowy dwu generałów — młodego, gorączkowego, i starego, rozważnego. Ostatni taką daje naukę towarzyszowi: „To jest właśnie największe nieszczęście, że nie macie ani odrobiny wytrwałości i trzymacie się godła: byle prędzej!.. Otóż my starzy trzymamy się innej metody: nie spieszymy się nigdy, bo po co?... Nie jesteśmy niemcami, mamy powolną naturę ruską. Niemcy co innego... Oni muszą się spieszyć, gdyż u nich wszystko obliczone na minuty i porcye; kto się spóźni, temu przepada rachunek. U nas inaczej: my z niczem liczyć się nie potrzebujemy... Przedewszystkiem, jaki pożytek z kolei pogranicznych, o które wam tak chodzi? W razie wybuchu wojny zniszczymy wszystkie drogi żelazne—niech sobie niemcy idą polowemi; my przywykliśmy do tych gościńców, a oni — chyba nie. Co więcej, gdziekolwiek się znajdzie droga żelazna, tam wzniesiemy silne szańce; niech je zdobywają. Co my skorzystamy z nowych kolei — wystarczą nam ziemia i działa. Chcecie wtargnąć do naszego kraju, owszem, prosimy bardzo. W r. 1853 cztery armie musiały zdobywać Sewastopol a oblężenie trwało 11 miesięcy; obecnie zaś wystawmy 6 lub 7 takich Sewastopolów, niech sobie posiedzą pod nimi... Zobaczymy wtedy, co będzie." Prawdopodobnie nie zobaczymy, gdyż wesołe rady strategiczne *Graždanina* nie będą wykonane, ale już dziś widzimy, że zasada ks. Bismarka: czekać zaczepki i przygotowywać się do niej — znalazła odgłos powszechny. Słyszymy ją bowiem również w Austryi, Francyi, Anglii. Nasuwa się tu prosta uwaga, że ostatecznie ktoś zaczepiającym być musi, ale ona wprowadza nas w dziedzinę wróżb, do której wchodzić nie będziemy.

Że tchnienie pokojowe mowy kanclerza zaczyna wietrzeć, znajdujemy również do-

wód w tak dyplomatycznem i oględnem piśmie, jak *Polit. Corespondenz*. „Niby lekarz — powiada ono—który zbadawszy należycie chorobę, spokojnie, przedmiotowo określa stan chorego, ks. Bismark przed sejmem i całym światem opisał mistrzowsko obecny stan Europy. Ale ani słowem nie zaprzeczył, że jest to stan chorobliwy i groźny. Że on sam pragnie wyleczenia, o tem nawet najzawziętszy jego przeciwnik wątpić nie może; ale kanclerz zastrzegł się przeciw przypuszczeniu, iż w mocy jego znajdują się środki pomocne i skuteczne. Pokój europejski jest chory, bardzo chory; może — tego się książe spodziewa — być utrzymanym jeszcze przez długie lata, może nawet w czasie tej zwłoki wyzdrowieć, ale od tej otuchy i możności do faktu wyprowadzenia go z choroby, niestety, długa jeszcze droga, która tylko ślepemu optymizmowi wydaje się krótszą. Pierwiastki chorobliwe, jakie na Zachodzie i Wschodzie nagromadziły się w głównych ogniskach politycznych organizmu europejskiego, dotąd, jak i poprzednio, fermentują w sposób zatrważający, a nic takiego jeszcze nie przedsięwzięto, coby sprowadziło wyzdrowienie.“ Należy przytem zaznaczyć, że ta dyagnoza przysłana została z Berlina, a więc z tamtejszego biura dyplomatyczno-dziennikarskiego (takich tylko współpracowników ma *Polit. Corespondenz*), więc niemal jak gdyby sam kanclerz usiłował zatrzeć pokojowe wrażenie swej mowy. To też, rozwijając dalej owo porównanie, rzec można, że obecny pokój chory podobnym jest do nieszczęśliwego następcy tronu niemieckiego: cierpi na raka lub jakąś chorobę nieuleczalną, ma w gardle narośl charakteru złośliwego, dzięki sztuce medycznej i staraniom, żyć jeszcze może, ale nie wyzdrowieje; w ostatnich zaś czasach zaczął się dusić i musiano mu przeciąć krtań — a tracheotomii dokonał z powodzeniem względnem najzręczniejszy chirurg— ks. Bismark.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wiedeńska *N. F. Presse* złapała gdzieś i ogłosiła podobiznę traktatu austro-niemiecko-włoskiego. Mówimy — podobiznę, gdyż *Nordd. Allg. Ztng* nie zaprzecza wiarogodności temu dziennikarskiemu łupowi w głównych zarysach, ale zaznacza w nim pewne braki. Jakie to są braki — naturalnie organ kanclerza milczy, a świat nie naciera na niego o zdradzenie tajemnicy, gdyż nie spodziewa się w niej ujrzeć niespodzianki. Nawet w układzie austro-niemieckim strumień elektryczny nie wytryskał z jego treści, ogólnie przedtem znanej, ale z faktu urzędowego ogłoszenia tak tendencyjnej umowy. Nowe przymierze ma być zwrócone głównie przeciwko Francyi. „Co za potrzebę — pytają *Pet. Wiedomosti* — mogą czuć Włochy do wyruszenia w pole z całemi siłami zbrojnemi nawet w razie napadu Francyi na Niemcy? Co za pożytek dla nich, zawsze tak praktycznych w polityce, z tak nierozsądnego kroku? Odebrać Francyi (w wypadku powodzenia) Nizzę i kawałek sfrancuziałej Sabaudyi, której nawet najzawziętsi irredentyści dawno się wyrzekli? A za tę miseczkę soczewiczy wyrzec się najżywotniejszych interesów Włoch przyszłych, zapomnieć o Tryencie i Tryeście, o nieodzyskanej jeszcze części wybrzeża adryatyckiego, owego „jeziora włoskiego“ i razem z austryakami bić się przeciw rosyanom w Bułgaryi? Kto w samych Włoszech uwierzy w prawdziwość podobnych pogróżek?“ Pytania te byłyby całkiem logiczne, gdyby *Wiedomosti* zdołały udowodnić, że Austrya pomocy Włoch nie zapewniła sobie obietnicą ustąpienia tych właśnie skrawków po pomyślnym dla niej wyniku walki? Kto zaręczy, że oprócz kontraktów tajemnych, o których wszyscy mniej lub więcej słyszeli, nie istnieją jeszcze tajemniejsze, o których nikt nie wie? Temu domysłowi nadały w ostatnich dniach wagę rozmaite pogłoski dość zagadkowej natury. Z Londynu przyleciała jedna, która napomyka o sojuszu Anglii, Francyi i Rosyi, ale tuż za nią pospieszyła wiadomość, że towarzysz ministra spraw zagranicznych Fergusson odmówił parlamentowi odpowiedzi na pytanie, czy zawarto jaki układ z Włochami. Francuzki znowu minister spraw zewnętrznych, przybywszy do Brianson, w mowie swojej potrącił o „ważność tego najdalej wysuniętego punktu granicznego.“ Jednocześnie z Włoch przybyły wieści o zbrojeniu i gromadzeniu floty, o opasywaniu portów łańcuchami torped itd. A do tego wszystkiego *Nordd. Allg. Ztng*, zwyczajem gadzinowej prasy niemieckiej, która jedną ręką gasi ogień, a drugą dolewa doń oliwy, zapatruje się na obecną postać stosunków „pesymistycznie.“ Kto rozwikła te węzły i węzełki!

Biedny „karaś“ niemiecki, obskoczony przez „szczupaki“ parlamentarne, nie zdołał przeprowadzić ustawy przeciwko socyalistom, obostrzonej prawem wygania winowajców i pięcioletniem jej trwaniem; zatwierdzono ją, ale w dawnej osnowie i na lat 2. Natomiast pięcioletnie prawodawcze przeszło dość gładko. Co do owej ustawy, niewątpliwie przyczyniły się do porażki rządu odkrycia posłów socyalistycznych, którzy dowiedli, że policya berlińska utrzymuje w Szwajcaryi agentów, którzy namawiają do zamachów a nawet przygotowują dynamit.

Jaki jest właściwie stan zdrowia następcy tronu niemieckiego—orzec trudno. Przecięto mu krtań, zapobiegając uduszeniu, chory ma znowu czuć się lepiej, ale co tkwi w gardle, nowotwór złośliwy, czy nie— dotąd nie ogłoszono. Dr Mackenzie ma wszakże zabrać głos publiczny w tej sprawie.

Turcya przechodzi gorące opały. Z jednej strony musi wykręcać się od spłaty długu wojennego Rosyi, z drugiej borykać się z rokoszem wewnętrznym, a jednocześnie łatać stosunki, rozrywane ciągle sprawą bułgarską. „Choremu człowiekowi“ już sił nie starczy do wytrwania w beczce, w której wnętrzu, nabitem gwoździami, jest ustawicznie taczany. Czasem próbuje on nawet samodzielności. Porta zmieniła niektóre punkty umowy o kanał Suezki, ale państwa interesowane, a zwłaszcza Francya, tych zmian nie przyjmą i chory będzie musiał ustąpić.

Lord Dufferin, wicekról Indyj został usunięty z tego stanowiska. Powody tej zmiany nie są dotąd znane.

OTELLO

przez

M. C. Tennysona.

— Pani Izabelo, czy to twoje ostatnie słowo?

— W tej kwestyi ostatnie, wybierz pan jaką inną sztukę, a nie będziesz potrzebował skarżyć się na mnie; jeżeli zaś obstawać będziesz przy *Otellu*, jakkolwiek mi to jest bardzo przykro, muszę odpowiedzieć *nie*.

— Żebym przynajmniej mógł pojąć, co pani ma przeciwko *Otellowi*; wiem przecież, że, w czasie bytności swej na scenie, odgrywałaś zachwycająco rolę Desdemony—cały Londyn szalał wówczas za panią i...

— I pomimo to wszystko zadość uczynić życzeniu pańskiemu nie mogę — odrzekła poważnie hrabina Aston, która, jako Izabela Leigh, odnosiła niezapomniane tryumfy w królewskim teatrze. Ażeby jednak nie wydać się kapryśną, muszę panu wyjaśnić powód, który mi nie pozwala przychylić się do pańskiej prośby. Czy pan wiesz, że to przedstawienie *Otella* przed trzema laty omal nie wtrąciło mnie do grobu?

— Alež, pani stajesz się coraz bardziej zagadkową!—zawołał Frank Lytton, „gwiazda“ teatru Drury-Lane, za którym wówczas cały Londyn szalał. Nie wiem wcale, że pani przed trzema laty byłaś tak ciężko chorą, gdyż odbywałem wtedy podróż po Ameryce i kiedy w roku zeszłym powróciłem znowu, zastałem teatr królewski pozbawionym swej ulubienicy, a panią—szczęśliwą małżonką lorda Astona. Gdym powiedział dyrektorowi, iż miałem nadzieję przyjaciółkę młodości, sławną Izabelę Leigh, skłonić do wystąpienia raz jeszcze dla mnie na scenie, której się sprzeniewierzyła i do podjęcia się roli Desdemony w zapowiedzianem na nadchodzący wtorek przedstawieniu *Otella*, uściskał mię gwałtownie i powiedział, że mi tego nigdy nie zapomni. Ażeby się upewnić, pytam naprzód lorda Astona, pana i rozkazodawcy twego: on mi obiecuje sprawę tę poprzeć, a teraz — nie, Izabelo, nie dam się odprawić z niczem. Pomyśl pani, jak wiernymi przyjaciółmi byliśmy dawniej i nie odmów mej prośbie!

Młody człowiek wyglądał tak nieszczęśliwie, iż hrabinie żal się go zrobiło.

— Od mego postanowienia odstąpić nie mogę — odrzekła uprzejmie — wybierz pan co innego, a chętnie przystanę; zwolnij mię jednak z Desdemony — grać jej nie będę.

Frank Lytton, widząc, że już dłużej nie wypada nalegać na dawną koleżankę, po pewnym namyśle zapytał: czyby zagrała Ofelię, jeżeli dyrektor zgodzi się zamiast *Otella* wystawić *Hamleta* na otwarcie sezonu. Lady Aston odrazu przystała na to i młody artysta oddalił się.

Następnego zaraz dnia przybył znowu, ażeby zakomunikować lady Aston, że wszystko urządzono i że przedstawienie *Hamleta* otworzy sezon w nadchodzący wtorek. Hrabina przyrzekła uczynić, co będzie mogła i kiedy oboje gawędzili jeszcze z sobą, wpadł lord Aston.

— No — zapytał w dobrym humorze — czyś pan wszystko przygotował i postarał się o niezbędną klakę, panie Lytton?

Hrabina pogroziła z uśmiechem mężowi, wówczas gdy Frank Lytton uroczyście zapewniał, że już dziś biją się o miejsca w teatrze Drury-Lane...

Znakomity wieczór nadszedł i stali goście teatru jednogłośnie oświadczyli, że przedstawienie było pod każdym względem wzorowe. Zapał publiczności nie miał granic i zarówno Hamlet, jak Ofelia zbierali burzliwe oklaski i niezliczoną ilość wieńców wawrzynowych.

Gdy się przedstawienie skończyło, prosił lord Aston artystę, który grał „ponurego księcia Danii,“ aby zechciał jemu i Ofelii towarzyszyć do domu i wraz z nimi zjeść kolacyę. Frank Lytton z podziękowaniem przyjął zaprosiny...

Wkrótce siedzieli troje w miłe ogrzanym pokoju jadalnym w Astonhouse i hrabina dała dowód, że może również dobrze odegrać rolę pani domu i skrzętnej gospodyni, jak i nieszczęśliwej Ofelii. Po skończonej

SPRAWY EKONOMICZNE.

DUMANIA WYSTAWOWE.

I.

Mamy więc znowu wystawę, ku uciesze jej komitetu, ku ogólnemu zadowoleniu *Kuryerów* wszystkich odcieni (do czego tośmy doszli, nawet w bezbarwności należy rozróżniać odcienie!), którym fakt ten dostarcza już od 4—5 miesięcy wątku do zapełniania kolumn. Czy oprócz prasy i komitetu wystawa jeszcze kogo ucieszy lub zasmuci, trudno w tej chwili orzec. Kończący się karnawał do takiego stopnia zajął wszystkie członki najwybitniejszych (lub tylko najgłośniejszych) członków naszego społeczeństwa, że nawet nasze „najpoczytniejsze organy,“ pomimo całej wdzięczności, przynależnej z ich strony wystawie, zaledwie znajdują miejsce dla wzmianki o pustkach w salach muzealnych pomiędzy sprawozdaniami o czynach najzdolniejszych nóg. Nie posiadam znów tak proroczego zmysłu, ażebym już teraz mógł osądzić, czy publiczność zechce w czasie postu odbywać rekolekcye na wystawie; proroctwo staje się tem trudniejszem, że już obecnie ogłoszono na czas postu odczyty aż dwóch prelegentów „o hypnotyzmie i magnetyzmie.“ Ponieważ nasz „inteligentny ogół“ i tak nie odznacza się zbytnią samodzielnością, spodziewać się można, że po tych odczytach do reszty zacznie skakać według piszczałki swoich magnetyzerów.

Lecz wracajmy do rzeczy. Pomysł wystawy tkackiej musiał się wylęgnąć w głowie tych, którzy pragnęliby przyjść w pomoc „temu nieszczęśliwemu krajowi,“ tylko w żaden sposób nie mogą zastosować swej pomocy tam, gdzie ona rzeczywiście jest potrzebną. Każda wystawa specyalna może mieć na celu przedstawienie stanu pewnej gałęzi przemysłu w danej chwili, poznanie sił i braków, ocenienie zdolności współzawodniczej i widoków na przyszłość. Dla fabrykanta może ona stać się odpowiedniem polem do popisu, do zareklamowania swojego wyrobu; względem spożywcy zadanie jej jest więcej wychowawcze — tu nadarza się sposobność zaznajomienia ogółu z wartością różnych produktów; przez odpowiednie ugrupowanie przedmiotów mo-żnaby pouczyć niespecyalistów, jak powstają i czemu zawdzięczają swój byt wytwory tanie; przez udzielanie objaśnień należy wpłynąć na poprawę tak spaczonego obecnie gustu odbiorców, przywrócić dawniejsze znaczenie zapomnianemu niestety przysłowiu: „co drogie to miłe, co tanie to zgniłe.“ Na wystawie fabrykant mógłby także zapoznać się z najnowszymi wynalazkami, wyszukać najodpowiedniejsze dlań źródło surowego materyału. Nakoniec, w razie dobrych chęci ze strony właścicieli fabryk, mogą oni przez podanie dokładnych informacyj o położeniu robotników, urządzeniach gospodarczych itp., przyczynić się do wyświetlenia ekonomicznego stanu całego społeczeństwa. Widzimy więc, że każda wystawa ma bardzo szeroki zakres i przy naszych ograniczonych środkach ani można myśleć o wypełnieniu go całkowicie. W każdym razie jednak osiągnięcie choćby jakiegokolwiek skutku staje się możebnem dopiero wtedy, gdy urządzeniem popisu zajmą się rzeczoznawcy i uczynią to według z góry określonego planu. Ponieważ nasze wystawy z różnych względów mają przedewszystkiem na celu reklamę, zdawałoby się, że tu inicyatywa nie może wyjść od nikogo, tylko od bezpośrednio zainteresowanych. Dzieją się jednak rzeczy, o których filozofom się nie śniło, i niejeden sukniarz lub bawełniarz musiał się zdziwić niemało, słysząc o projektowanej jeszcze w r. z. wystawie. Czyż przemysł tkacki postępuje u nas tak szybkimi krokami, lub czy nastąpiły w tej dziedzinie tak gwałtowne przewroty, żeby już w dwa lata po jednym (i dodajmy nieudatnym) popisie nastała pora na drugi? Bezwątpienia zaszły w ostatnich czasach znaczne zmiany w naszym przemyśle, lecz zmiany te, z punktu widzenia fabrykantów, nie były takiego rodzaju, ażeby je warto przed ogółem ujawnić. Agitacya, wywołana przez współzawodników w wewnętrznych guberniach Cesarstwa, większe zainteresowanie się rządu ustrojem fabryk w środkach naszego przemysłu, wrzawa, wszczęta w prasie i ciągłe występowanie przeciw narodowości, do której większość fabrykantów należy, nie osłodziły im chyba niedawno przebytych chwil i nie wpoiły miłości do kraju, z którego chleb czerpią. Zresztą dla wielu fabryk Warszawa wcale nie jest miejscem zbytu wyrobów; o wiele więcej wywozi się na Wschód; i z tego więc względu wystawa warszawska nie zapewni im korzyści. Lecz inicyatorowie nie zatrzymali się w swoich usiłowaniach uszczęśliwiania niepragnących być uszczęśliwionymi. Zamiast wystawy krajowej, postanowiono urządzić rodzaj międzynarodowej. Wprawdzie Europa zachodnia, jak się wkrótce okazało, przyjęła uprzejme zaproszenie z jeszcze bardziej uprzejmem milczeniem (2 włochów, 1 anglik, przynajmniej w moich oczach Europy zachodniej nie stanowią), natomiast z wewnętrznych gubernij Cesarstwa kilku fabrykantów przyrzekło swój udział. Wywołało to jeszcze większy popłoch między przemysłowcami miejscowymi: jeśli ustąpią z pola, współzawodnicy ogłoszą ich za pokonanych; jeżeli zaś wystąpią w pełnym rynsztunku, da to tylko nowy pochop do jeremiaszowego płaczu nad zalewaniem rynków przez „obcych,“ do westchnień i modłów nad koniecznością lepszego zabezpieczenia „swoich.“ Położenie rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Wprawdzie wkrótce się okazało, iż niebezpieczeństwo nie jest tak wielkiem. Znaczniejsi fabrykanci ruscy okazali nie więcej chęci do turnieju od naszych. Lecz pozostało jeszcze jedno straszydło. Bardzo wielu odbiorców, którzy sami nie mogli oglądać wystawy, wiedzieliby o niej tylko ze sprawozdań prasy, a ta aż nadto dobitnie ujawniła przed niedawnym czasem swoje usposobienie. „Widzi pan, gdybyśmy też mieli firmę „Osiołkiewicz i Głuptasowski“ — mówił przedstawiciel pp. Eselmanna i Dummberga — moglibyśmy nawet okazać nasze produkty z niemieckimi nadpisami i nikt by nam nie zarzucił; a obecnie, choćbyśmy wszystko w najczystszą polszczyznę zaopatrzyli, przecież cos wynajdą, aby nam dokuczyć.“ Nawet gdy się już który zdecydował przyjąć udział, radził się jeszcze, czy nie należy dołączyć do deklaracyi metryki chrztu lub świadectwa o regularnem uczęszczaniu do kościoła i niedawno odbytej spowiedzi. Nie wiedzieli, nieboracy, że z dniem przeniesienia do Muzeum każdy przedmiot nabiera w oczach naszych dziennikarzów jakiegoś szczególnego uroku i że pomimo swej pobożności prasa nasza nie omieszkałaby przyznać się do pokrewieństwa z Lucyperem, gdyby ten się zjawił w owem uświęconem miejscu (za staraniem jakiego hrabiego lub księcia — rozumie się).

Jeżeli do powyższego dodamy jeszcze różne ambicye i ambicyjki tych, których już

---

wieczerzy udali się panowie za nią do sali i lady Aston rzekła, żartując:

— Cóż, panie Frank, przebolałeś już *Otella?*

— Przeciwnie, dzisiejszy występ pani zachęcił jeszcze więcej do podziwiania cię jako Desdemonę—odpowiedział Frank z ukłonem.

— Nic nie pomoże, Izabelo— rzekł lord Aston, spoważniawszy nagle— musisz opowiedzieć panu Lytton, w jakich okolicznościach po raz ostatni grałaś Desdemonę.

— Miałam już ten zamiar — odrzekła lady Aston, skinąwszy głową — a gdy Frank usłyszy tę historyę, zrozumie mój opór.

Lady Aston przytuliła się serdecznie do swego męża i zaczęła:

— Jak panu wiadomo, wówczas, gdyś przedsięwziął swą podróż, byłam zaangażowaną do teatru Regenspark: nie wiesz jednak zapewne o tem, że byłam już wtedy potajemnie zaręczoną z obecnym mężem moim.

— W istocie, tego nie wiedziałem—przerwał zdumiony Lytton— ale — dodał, śmiejąc się — to spóźnione odkrycie wyjaśnia mi niejedno, co mi się przedtem dziwnem wydawało. Żeś mię pani, wówczas jeszcze żółtodzioba, pragnącego wyzyskiwać naszą znajomość z dzieciństwa, często bardzo zimno traktowała i nie zwracała zupełnie uwagi na jawnie przezemnie okazywane hołdy, nigdy nie poczytywałem pani tego za złe; wszak i kot ma prawo przyglądać się królowi, nie licząc zupełnie na to, aby dlatego był przez niego zauważonym. Ale, że pani, naprzykład, naszego znakomitego kolegę, Bogumiła K., który codziennie przy każdej sposobności miłość swoją starał ci się okazywać, traktowała równie chłodno i obojętnie — zdumiewało mię to, a zarazem pocieszało, gdyż zawsze przyjemniej jest mieć towarzyszów niedoli.

Lady Aston skinęła głową.

— Ponieważ przypominasz pan sobie tak dobrze osobistości — mówiła dalej — zrozumiesz tem łatwiej następującą opowieść; dla objaśnienia jednak sytuacyi dodać jeszcze muszę, że męża mego poznałam podczas występów gościnnych w Petersburgu, gdzie był posłem przy ambasadzie naszej. Pomimo życzenia jego, abyśmy zaraz ogłosili nasze zaręczyny, obstawałam przytem, aby jeszcze w nadchodzącym sezonie występować na scenie; nie mogłam się bowiem zdecydować na natychmiastowe porzucenie mojej karyery. Niechętnie zgodził się na to mój narzeczony — wiele kłopotów i trosk oszczędziłabym sobie i jemu, gdybym poszła za jego zdaniem... Jakeś pan to już przedtem oświadczył, obdarzał mię Bogumił K. większem uznaniem, niż sobie tego życzyłam, i przedstawienia te, w których zbyt często ze mną grał role pierwszych kochanków, były wskutek tego niekiedy bardzo dla mnie nieprzyjemne. Składałam chętnie hołd uznania geniuszowi wielkiego artysty, ale pomimo to, jak tylko Bogumił K. zbliżył się do mnie, często musiałam walczyć z przykrem jakiemś uczuciem — przejmował mię on zawsze strachem. Nieraz w czasie próby tłomaczyłam się niespodzianą chrypką, byle tylko nie być zmuszoną odgrywać sceny miłosnej z człowiekiem tym, którego ciemne oczy robiły na mnie wrażenie podobne, jak wzrok węża na ptaka. Wieczorem, w czasie przedstawienia, uczucie to zwykle zatracałam, czyli, właściwiej, nie miałam czasu dać się mu rozwinąć. Przytem Bogumił K. był mi niezbędnym jako doradca — wiele bardzo scen odegrał wraz ze mną z porywającą namiętnością i większą część powodzenia mego przypisuję jego dla mnie uczuciu.

Tymczasem im częściej spotykałam się z nim, tem więcej nieprzyjemnym wydawał mi się znakomity kolega i uczucie to potęgowało się z mej strony w tej mierze, w jakiej on zwracał na mnie swoją uwagę. Dzięki tylko memu stanowczemu wyjaśnieniu, że nie przyjmuję żadnych wizyt a wskutek tego i jego odwiedzin wyrzec się muszę, zaniechał codziennych pogawędek w moim domu; nie mogłam jednak przeszkodzić przesyłaniu mi wspaniałych kwiatów i owoców oraz częstemu wyczekiwaniu na mnie przy wejściu do teatru, gdym szła na próby lub przedstawienia.

Pewnego dnia, po próbie generalnej z *Hamleta*, rozmawiałam z artystą grającym rolę Laertesa, młodym aktorem, którego siostra była moją garderobianą i który mię

wyłuszczone skrupuły nie mogły odstraszyć od uczestniczenia w wystawie, stanie się jasnem, dlaczego ona chroma nie na jedną, ale na obie nogi, dlaczego nie rozwiąże ani jednego z pytań, które sobie zwiedzający ją zadać może i dlaczego nakoniec należy uważać wszystkie starania, ku jej urządzeniu użyte, za stracone.

(D. n.)

BADANIA NAUKOWE.

ECHA MESYANISTYCZNE
w Literaturze polskiej.

II.

Los ideałów Skargi. — Przyspieszona dbałość jego epigonów. — „Dies irae." — Mesyasze teraźniejszości. — Wyprawa pod Wiedeń i Jan Sobieski.

Przezwany „Złotoustym" najuczciwszy z apostołów jezuityzmu w Polsce, dążąc do urzeczywistnienia swego ideału, mniemał w prostocie ducha, że zasada „jedności religijnej," którą tak wytrwale na pniu słowiańskim szczepił, może nietylko zażegnać burzę piorunową, ale nadto stać się dla państwa cementem i źródłem niespożytej potęgi. Jako apostoł sprzymierzonego z chwilą dziejową prądu, po drodze życia tryumfalny odbywał pochód — którędy przeszedł, wyrastały z pod śladów stóp jego coraz to okazalsze lilie reakcyi katolickiej. Blada idea Skargi rosła w cześć i siłę, a jednak jej krzewiciel w przededniu skonu posępną nad narodem powiał pieśnią. Napisane w r. 1610 *Wzywanie do pokuty* jest raczej testamentem pokonanego, niż zwycięzkiego szermierza. Jakże tę zagadkę rozwiązać? W duszy gromowładnego kaznodziei uczucia obywatelskie, chociaż upodrzędnione wobec religijnych, ściśle się z niemi kojarzyły; uświęcone hasła powagi monarszej i praw człowieczych kmiecia polskiego były w jego organizmie umysłowym bezpośrednimi odgłosami prawomyślności rzymskiej; z postępu więc idei naczelnej miały wyniknąć pożądane zmiany w sferach od niej zależnych. Gdy rzeczywistość zadrwiła z ideologa, gdy w rozwiązaniu rokoszu zebrzydowskiego okrzykowi chwały papieskiej zawtórowały niespodziane złowróżbne echa przewagi magnackiej, Skarga nie wyrzekł się fałszywego systemu, nie zwątpił o jego zasadniczości, a przypisawszy dysonans nieposkromionej „hydrze kacerstwa," wszystkie siły narodu przeciw temu widmu zamyślał skierować. Zerwała się tymczasem nić żywota. Kaznodzieja, ustępując z widowni, wydał głos, nawskróś przeniknięty uczuciem zawodu. Wiedział on, że wytępienie herezyi niemałych jeszcze wymaga usiłowań, ale nie przewidywał, że ta operacya, dokonywana pod hasłem krzyża kosmopolitycznego, zagrozi bytowi państwowemu „wybranego ludu." W jego ślady wstąpili inni, równie fanatyczni, a mniej o dobro społeczne dbający agitatorowie. Wypowiedziany niegdyś przez Orzechowskiego wstrętny, okrucieństwem brzemienny aforyzm: „powroza trzeba na kacerza, nie pisma"—stał się hasłem wieku, brzmiał coraz donośniej, coraz wyraźniej zakrwawiał, w barbarzyńskiej praktyce, nieszczęśliwą ziemię. Zniesienie szkoły i drukarni rakowskiej w r. 1638, niefortunne, tragikomiczne w swym przebiegu „colloquium charitativum" (1645), wywoływanie z kraju słynniejszych zwolenników Socyna i palenie ręką kata ich rozpraw teologicznych (1647), tamowanie głosu na sejmikach mniej znanym tejże religii wyznawcom (1648), ryczałtowa banicya przezywanych „kaziciełami honoru bożego" aryan (1658—1660), uprawnione wyrokiem państwowym morderstwo publiczne, na mniemanym dokonane ateuszu (1689), sprawa wreszcie toruńska (1724) i inne podobne wypadki (którymi dość bezładnie, choć z takim udziałem rozumu i serca, zajmuje się w swej książce zacnej pamięci pracownik Adryan Krzyżanowski) są z jednej strony jaskrawymi dowodami piekielnie pomyślnej działalności takich, jak Karwat jezuita, epigonów Skargi, z drugiej — wytycznymi punktami linii pochyłej upadku narodowego. Nie myślę tu wcale fatalnego powikłanych przyczyn skutku jednemu przypisywać czynnikowi, ani też rozstrzygać kwestyi, o ile dane zjawiska nietolerancyi większą lub mniejszą nam zrządziły szkodę, niż francuzom — wojny religijne, dragonady i odwołanie edyktu nantejskiego, lub wygnanie maurysków i krwawe „akty wiary" — hiszpanom. Zaznaczam jedynie, że „Złotousty" ciężko pomylił się w swych rozumowaniach, uzależniając byt i rozwój Rzeczypospolitej od stopnia jej uległości względem słońca rzymskiego — patryotyzm od ultramontanizmu, pomyślny żywot narodu od pożerczej siły, która w imię Chrystusa tamuje postęp i wszelkie cechy etnologiczne zaciera.

Wielce wpływowemu, choć nieszczęsnemu przewodnikowi ludu niepodobna odmówić talentu proroczego. Nie dojrzał twórczych sprężyn, ale odgadł skutki. Młodociani jego słuchacze mogli jeszcze przed nadejściem późnej starości oglądać brzask strasznego „dnia" zagłady. Od r. 1648 grom po gromie uderzał w słabe ściany Rzeczypospolitej. Zamagnetyzowani przez wychowawców i kaznodziejów, sternicy nawy państwowej nie wdawali się w rozbiór przyczyn i nieszczęścia przypisywali „gniewowi bożemu." Jakaż na to była rada, gdy modlitwy, posty i obfita, mnichom a dziadom składana jałmużna, nie zdołały mściwego przebłagać Jehowy? Przypasać miecz poświęcany i tępić wszelkich niedowiarków!—szeptało wykołysane przez mistrzów „Societatis Jesu," uczucie religijne, a tak zwany rozsądek chłopski (ten sam, który codziennie podpatruje wschód i zachód słońca, a więc w teoryę obrotu ziemi nigdy nie uwierzy) dowodził, że inaczej być nie może, bo przecież wrogowie Rzeczypospolitej — kozacy, tatarzy, szwedzi itd. — są zarazem wrogami katolicyzmu. Na tej, już to lirycznej, już to pseudoracyonalnej, podstawie wzmagała się żądza prześladowania heretyków domowych, a gdy wywołana nienawiścią — nienawiść pobudziła tu i owdzie różnowierców do zdrady, fanatyzm dosięgł zenitu... Odnowiony w ten sposób za cenę życia związek narodu z kościołem, był bliższy i gorętszy, niż kiedykolwiek. Pojęcia, zawarte w słowach „ojczyzna" i „wiara," splątały się w trudny do rozwiązania węzeł gordyjski, a nad pracowniami społecznemi zawisła klątwa zastoju, niby mityczne „sol, stat" Jozuego. Słabo na gruncie naszym zaszczepione ideały heleńskie, ustąpiły hebrajskim, w noworzymską przybranym szatę. Długa walka z różnowierczymi nieprzyjaciołmi, wielkie klęski i efektowne od czasu do czasu, a niespodziewane tryumfy, słowem cała, tragicznego uroku pełna rzeczywistość wpłynęła na ustalenie wiary w wyjątkowe posłannictwo lechitów, jako rycerza, stojącego na kresach z krzyżem i mieczem w ręku. Uprawiano tedy bezwiednie i umierzwiano niwę pod przyszły mesyanizm. Schyłek wieku siedemnastego ważnym dorobkiem zbogaca dotychczasowe

---

nieraz bronił od natręctw niepożądanego wielbiciela. I dziś Bogumił K. był przedmiotem naszej rozmowy—rzucał on na mnie, w czasie owej nieporównanej gry Hamleta, tak ponure spojrzenia, że zaczęłam się go obawiać, a Laertes, który to wszystko spostrzegł, podjął się odprowadzić mię do mieszkania.

— Wie pani, co szepczą o naszym znakomitym koledze? — zapytał Laertes pocichu.

— Nie, a cóż takiego?

— Mówią, że podczas ostatniego występu gościnnego w Niemczech targnął się na życie jednego z artystów, którego nie mógł znosić i brakowało niewiele, ażeby nieszczęśliwego zadusił. Nadejście dyrektora uratowało napadniętego — a że natychmiast, pomimo świetnych rezultatów kasowych, występy gościnne zakończyły się—jest rzeczą bardzo zrozumiałą. Nikt nie chciał więcej grać z tym gwałtownikiem i kontrakt musiał być unieważnionym. Nie mogę, rozumie się, ręczyć za prawdziwość tego twierdzenia, w każdym jednak razie Bogumił K. nie należy do przyjemnych kolegów i nie chciałbym poróżnić się z nim, pomimo że i bez tego mnie nienawidzi.

— Co za dziwne urojenie, panie Somers— rzekłam z uśmiechem — dlaczegoż by miał pana nienawidzieć?

— Bo dostrzega, że i ja panią, również jak on, podziwiam i...

Cichy szelest powstrzymał mego towarzysza, zwróciliśmy się oboje w głąb, ażeby odkryć przyczynę szmeru i spostrzegliśmy Bogumiła K., który, oparty o kulisę, zabawiał się łamaniem w drobne kawałki swego teatralnego sztyletu. Wydawał się, jak gdyby nas nie zauważył; byliśmy jednak mocno przekonani, że nie uronił ani jednego słowa naszej rozmowy i myśl ta była dla nas bardzo nieprzyjemna.

Przez kilka dni następnych na każdy mój ruch skierowane były ustawicznie spojrzenia Bogumiła K., które mię doprowadziły do rozpaczy. Gdziem się ruszyła lub stała— widziałam ciemne, iskrzące się oczy, wlepione we mnie i magnetyczna moc utrzymywała mię w ciągłem natężeniu i niepokoju.

Pewnego wieczoru, kiedy czekałam mojej kolei wyjścia na scenę, stał za kulisami Bogumił K., jak mój cień, za mną, a że uważałam sytuacyę tę za niezności — postanowiłam ją raz skończyć. W akcie tym występowałam tylko w jednej scenie; gdy ta się skończyła, przystąpiłam do natrętnego wielbiciela, który stał jeszcze na tem samem miejscu i zapytałam z determinacyą:

— Panie K., czemu zawdzięczam nieprzerwaną uwagę, którą mnie pan obdarzasz? Czy nie zbyt delikatnie cieniowałam, czy może...

Zacięłam się, ponury wzrok, który bez przerwy spoczywał na mnie, zmiękł niezmiernie i Bogumił K. wyszeptał serdecznie:

— Bogu dzięki, nareszcie nadeszła chwila, kiedy mi pozwolono wygadać się! Milczałem, ażeby nie wydać się natrętnym, ale teraz, kiedy mię pani sama wzywasz, ażebym przestał milczeć, obawa ta jest zbyteczną. Izabelo — ja kocham cię!

Na to nie byłam przygotowana i pomimo że drżałam wewnętrznie, spróbowałam uśmiechnąć się i żartobliwie zapytałam:

— Panie K., czy wyjaśnienie to należy do pańskiej roli?

— Panno Leigh, pani mnie umyślnie nie chcesz zrozumieć — odpowiedział towarzysz mój z ledwie ukrytą namiętnością — wszak musiałaś pani od dawna spostrzedz, że cię kocham. Od chwili, kiedym panią po raz pierwszy ujrzał, myślę tylko o tobie, oddałbym życie moje dla ciebie — na jawie i we śnie jestem niewolnikiem, własnością pani! O, i ja pani nie jestem obojętny — nie, nie mów nic, wiem dobrze, co czujesz! Przed laty byłem osamotnionym, nieszczęśliwym człowiekiem, a i teraz nie śmiem jeszcze przypuszczać, żem zdobył miłość pani — szczęście moje jest za wielkie!.. Nie prawdaż, moją jesteś Izabelo, moją z tym słodkim uśmiechem, z błogiem spojrzeniem, z wszystkiemi fibrami swej duszy?

Niepowstrzymanie popłynęły te słowa z ust jego, krew mi się ścięła, gdym spostrzegła, w jakim nieszczęsnym był błędzie co do mojego uczucia. Kilkakrotnie próbo-

w tej sferze pomysły: nietylko bowiem rozpowszechnia i utrwala ideę ludu wybranego, ale ją bliżej określa i systematyzuje: co ważniejsza — nie patrząc w daleką przyszłość, wpada na tor poszukiwania „mesyasza“ między żyjącymi. W kolei czasów nastręczają się tacy bohaterowie, jak Jeremiasz Wiśniowiecki, Stefan Czarniecki, Jan Sobieski. Każdy z nich zasłużył sobie na tytuł obrońcy narodu i wiary; każdy w pewnej chwili żywota mógł być jako „wybraniec boży“ przedmiotem szczególnego wielbicieli swoich kultu. Największą z tego grona popularnością u szlachty cieszył się Jeremi, dzielny a fanatyczny wojownik, pan szczodry a dumny, który był iście typowym wykwitem, nieodrodnem dziecięciem epoki. Jan Sobieski, dzięki koronie i dłuższej działalności, a stąd większej stosunkowo liczbie popełnionych błędów — pod względem czci, od współczesnych doznanej — ostatnie podobno w tej trójcy zajmuje miejsce. A jednak dokonanym szczęśliwie faktem odsieczy wiedeńskiej, ową odnogą historyi polskiej, wkraczającą w dzieje powszechne, przerasta on współzawodników o całą głowę. Przyznała mu to pierwszeństwo najnowsza krytyka historyczna, a współczesny bohaterowi (dziejopisarz jego nadworny) Wespazyan z Kochowa Kochowski, uczcił po swojemu w *Psalmodyi*, jako „mesyasza teraźniejszości.“ Rzecz godna uwagi, że sam król (w listach do Maryi Kazimiery) przyswaja sobie niemal ten tytuł niebiański. Bo też oblicze umysłowo-moralne Jana III jest w głównej treści wiernym, choć miniaturowym obrazem wieku. Opuszcza kraj, na czele hufców, wyspowiadany i pobłogosławiony przez kapłanów. Po drodze różne odwiedza świątynie. Rozważa ukazujące się w obłokach i na ziemi „znaki widome niewidomej prawicy Boga i szatana“ (tęcza w kształcie półksiężyca, pies i orzeł czarny, gołąb i orzeł biały), a o Wezyrze z całą naiwnością powiada, że „ma być wielki czarownik.“ Każdy list, z wyprawy wojennej do małżonki pisany, świadczy z jednej strony o jasnej myśli i poczciwem sercu autora, z drugiej — o zupełnem lekceważeniu ortografii i czystości języka, wieńczą charakterystyczne „całunki wszystkich śliczności najukochańszego ciałeczka Marysieńki.“ To jednak nie przeszkadza bohaterowi pojmować całą wagę zarówno chwili dziejowej, na którą wieki czekały, jak i osobistego posłannictwa. Z tego punktu oceniany, występuje on przed nami w pełnej zbroi spoglądającego dumnie ze zdobytych murów rycerza, obrońcy chrześcianstwa. Uważa się on widocznie za posłannika niebios, gdy spiesząc do ojczyzny przez Węgry, po ciężkim torze powrotnym, pisze z pod Preszowa: „Można mię teraz nazwać Mojżeszem, bo tak właśnie to wojsko z tych miejsc wyprowadzam, jak on kiedyś lud boski.“

Antoni Gustaw Bem.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 3 lutego.

Pierre et Jean. — Mensonges. — La Terre.

Dłużny jestem czytelnikom *Prawdy* kilka słów o trzech powieściach, które zyskały bieżącej zimy rozgłos największy i cieszą się nim dotąd. Trzy powieści trzech mistrzów: Guy de Maupassanta, Bourgeta i Zoli.

Zacznę od najświeższej.

Edmund Goncourt w przedmowie do swej *Chérie* przed paru laty powiedział, że gdyby nanowo rozpoczął pisanie powieści — wyrzuciłby z nich obowiązkowe uśmiercanie bohaterów i powikłane epizody a przedstawiłby rzeczy zwyczajnie i prosto, jak życie samo. Autor przedmowy do *Pierre et Jean* mógłby odrzec starszemu swemu koledze, iż życie właśnie bywa czasami pełne śmierci i zawikłane; ponieważ jednak z rzeczywistości niewykluczoną jest i pewna prostota codzienna, dlaczegożby więc powieściopisarze odtwarzać mieli same obrazy tragiczne, pozostawiając na uboczu nie mniej rzetelne tło, na którem namiętności nie wybuchają gwałtownie a wybuchając, nie palą doszczętnie swych bohaterów, lecz układają się, powlekają mgłą zapomnienia, przygasają a życie płynie dalej utartą koleją.

W duchu tych rozumowań Guy de Maupassant napisał ostatnią swą powieść, zastrzegłszy się przedmową, że w literaturze, jak w życiu, wszystkie rodzaje są dobre, prócz — nudnego. Oto jej treść. Pan Roland, niegdyś jubiler z zawodu i właściciel magazynu przy ulicy Saint-Martin w Paryżu, zarobiwszy nieco grosza, porzuca swe zajęcie, wyprowadza się ze stolicy i zamieszkuje w Hawrze, gdzie może swobodnie oddawać się ulubionej swej rozrywce— łowieniu ryb. Osiągnął tedy szczyt marzeń każdego francuzkiego mieszczanina, został „rentierem,“ człowiekiem od nikogo, nawet od swych klientów niezależnym. Człowiek to zresztą zwykły, ograniczony, zacietrzewiony połowem; nie jego bynajmniej ma nam autor opisywać. Emigracyi owej na morskie wybrzeże towarzyszy eks-jubilerowi jego małżonka, kobieta dobrej tuszy i czułego serca. Pod pulchną tą powłoką napozór nic się nie ukrywa. Poczekajmy jednak, autor pokaże nam cały dramat, utkany na czułych nerwach pani Roland. W chwili gdy akcya się rozpoczyna, państwo Roland mieszkają już lat piętnaście w Hawrze; szron pokrył dobrze głowę jubilera, tusza zaś jego połowicy przybrała pokaźne rozmiary. Wszystko już w ich życiu przygasło.

Zaraz na wstępie powieści spotykamy się jednak z dwoma młodymi i dorosłymi już ich synami, Piotrem i Janem. Pierwszy, po licznych wahaniach w wyborze zawodu oddał się medycynie i właśnie ją ukończył; drugi został adwokatem. Obaj myślą dopiero o klienteli. Charaktery obu przedstawiają same przeciwieństwa. Piotr o kilka lat starszy jest gorączkowy, niespokojny, zgryźliwy, rzutki, pełen nadziei i rozczarowań; Jan, to blondyn (Piotr był brunetem), limfatycznego temperamentu, prozaiczny i poziomy, mający coś z sentymentalizmu i tuszy swej matki. Obaj bracia instynktownie nie lubią się, rywalizują z sobą, spokojny Jan przytem z ślimaczym swym rozsądkiem bierze zawsze górę nad porywczym Piotrem. W chwili przyjazdu braci do Hawru zjawia się tam również przyjaciółka ich rodziców, młoda i nieszpetna wdówka, czuła blondyna, pani Rosémilly. Piotr i Jan zdają się starać o jej względy, co współzawodnictwo ich jeszcze bardziej zaostrza. Wśród codziennych tych zabiegów spada na rodzinę wielka nowina. Niejaki p. Maréchal, ongi przyjaciel domu, którego jednak od chwili wyjazdu z Paryża stracono z oczu, umarł, a umierając, zapisał Janowi 20,000 fr. rocznej renty. Wypadek ten nie zwraca niczyjej uwagi zbyt mocno, upośledzonemu jednak od losu Piotrowi zapada do mózgu i mimowolnie sprawia tam całą

---

wałam przerwać mu, lecz nadaremnie — teraz, kiedy pełen nadziei zamilkł, wyjąkałam słabym głosem:

— Panie K., wstrzymaj się, słowa pańskie sprawiają mi boleść; o, jak pan mogłeś do takiego stopnia łudzić się!

— Łudzić się — powtórzył on machinalnie — kto się łudził?

— Pan, panie K. Jako przyjaciela lubię pana i szanuję, jestem niewymownie wdzięczną za okazywane mi zainteresowanie się moimi występami, ale o miłości mowy być pomiędzy nami nie może.

— Izabelo, co to znaczy? Czyś się pani bawiła mną tylko wówczas, gdym ja mniemał, że mi jesteś wzajemną? Alež nie, to jest niemożliwe, powiedz, żeś tylko żartowała, że mię jednakże kochasz.

W namiętnem wzruszeniu padł mi do nóg, ujął prawą rękę i błagająco patrzał na mnie...

Byłam w śmiertelnym strachu, w każdej chwili mógł się akt skończyć i ta niemiła scena mogła mieć widzów i słuchaczów, co by dla mnie w najwyższym stopniu było przykrem.

— Panie K. — rzekłam spokojnie, o ile mogłam — przedewszystkiem proszę, wstań pan.

Podniósł się natychmiast i rzekł, nie wypuszczając ręki mojej:

— Widzisz pani, że jestem posłuszny jak jagnię, a teraz dręczyć mię, panno Izabelo, dłużej nie będziesz, nieprawdaż; chcesz wystawić mię tylko na próbę — wszak mię kochasz?

Promieniejący i pewny zwycięztwa wzrok nie pomógł nic, zmuszona byłam niemiłosiernie zniweczyć jego złudzenie.

— Ja pana nie kocham — odezwałam się stanowczo — i żałuję bardzo, jeżeliś pan zachowanie się moje tak tłomaczył. Podziwiałam w panu zawsze wielkiego artystę i nigdy nie przypuszczałam, żeby entuzyazm mój w ten sposób mógł być zrozumianym.

— A więc ludzenie i kłamstwo — nędzne, nizkie kłamstwo, gdzie zwróciłem najlepsze uczucia mego serca — szeptał, mierząc mnie iskrzącemi oczami — poczekaj wężu, zapłacisz mi za to, ja...

W tej chwili rozległ się dzwonek, który oznajmił koniec aktu, zaraz też ukazał się dozorca na scenie i oswobodzona, odetchnąwszy, oddałam mu swój kostyum.

Następnego dnia czułam się tak osłabioną, że kazałam przeprosić, iż nie jestem w stanie przyjść na próbę. Przez moją garderobianę, która później odwiedziła swego brata, dowiedziałam się, że Bogumił K. bardzo był wesoły na próbie i że prawie nie zauważył mej nieobecności. Podziękowałam Bogu, że ten egzaltowany człowiek tak prędko się uspokoił i postanowiłam unikać każdego sam na sam z nim — sezon zbliżał się do końca i te kilka dni jeszcze będzie można przenieść...

Na ostatnie przedstawienie wybrany został *Otello* i już w czasie prób zjednał sobie u nas Bogumił K. przez świetne odtworzenie tytułowej roli ogólny zachwyt.

Szczególnej doznałam ulgi, grając jako Desdemona, że murzyn obdarzał mnie grzeczną obojętnością: widocznie zapomniał niemiłą scenę i byłam z tego zanadto zadowoloną, ażeby módz wywołać podobną.

Rano tego dnia, kiedy miało się odbyć przedstawienie, otrzymałam list od narzeczonego tej treści, że wkrótce przybędzie do Londynu i że ma nadzieję być obecnym na przedstawieniu. Zakończył list temi słowy: „Jeżeli nie wcześniej, to w każdym razie odszukam cię na scenie przed rozpoczęciem przedstawienia, droga moja; stosownie do naszej umowy, ogłosimy zaraz nasze zaręczyny i sądzę, że z powodu tej okoliczności mogę się już ośmielić powitać cię na deskach scenicznych, nie wprawiwszy w ruch języków potwarczych.“ List ten uszczęśliwił mię, uśmiechające się obrazy przyszłości i własnego domowego ogniska ukołysały mię i nie pojmowałam prawie, jak mogłam przedtem myśleć, że bez powołania mogę żyć nie byłabym w stanie. W podniesionym nastroju pojechałam wieczorem do teatru i nawet kiedy spostrzegłam spoczywający na mnie ogniście namiętny wzrok Bogumiła K., pozostałam wesołą i niedbającą o nie.

Nastrój mój zmienił się dopiero w drugim akcie, wówczas, kiedy Otello, wbrew wszelkim prawidłom scenicznym, przyci-

rewolucyę. Naprowadzony na ślad podejrzeń własnemi myślami, wykrywa on, mimo całej przykrości tego śledztwa, iż zmarły zapisodawca był kochankiem jego matki i że Jan jest jego synem. Doszedłszy do pewności w tym względzie, rzuca całą tę prawdę Janowi w chwili drażliwej sprzeczki i sam, przerażony tem głośno wypowiedzianym odkryciem, wybiega. Scena ta rozgrywała się w mieszkaniu Jana, który je przygotowywał dla rychłego już powitania w niem pani Rosémilly, jako swej małżonki. Całą tę sprzeczkę matka, znajdująca się w sąsiednim pokoju, słyszała. Po wybuchu rozpaczy wyznaje ona otwarcie Janowi, że to jest prawdą, gotowa za karę dom, męża i dzieci natychmiast porzucić. Zatrzymywana jednak przez kochającego ją syna, spowiada mu się, że długa jej i wierna miłość dla zmarłego dobroczyńcy była jedynym promieniem szarego i pospolitego jej życia, że tego człowieka ona szczerze i głęboko kochała a pamięć jego każe synowi szanować. Jan wchodzi w uczucia swej matki i przyjmuje z rozrzewnieniem portret swego rzeczywistego ojca. Burza jednak, wygrzebana z popiołów po latach tylu, nie grozi rozbiciem. Pan Roland niczego się nie domyśla, Jan żeni się z młodą wdówką, Piotr zaś, otrzymawszy miejsce lekarza okrętowego, wyjeżdża w świat, napół z rodziną swą pogodzony. Historya zwykła jak życie, w większości wypadków.

Niepodobna nie wspomnieć o niepospolitych zaletach artystycznych ostatniej powieści Guy de Maupassanta. Autor połączył prostotę opowiadania z wielką ścisłością i przejrzystością analizy, wypowiedział zaś to wszystko językiem nadzwyczaj poprawnym i jakby cyzelowanym staraniem. W porównaniu z *Bel-Ami* mniej tu kolorytu i werwy, mniej obrazów, właściwych naturalizmowi, co już można było zauważyć w *Mont-Oriol* — całość jednak opracowana nader starannie i harmonijnie wykończona. Zalety to utalentowany powieściopisarz i niezrównany nowelista zdobył nie odrazu. Jak wiadomo, Guy de Maupassant jest uczniem Flauberta, opowiada też w swej przedmowie, jak siedem lat przynosił do swego mistrza rękopisy, które szły do kosza. Nie odrazu więc Kraków zbudowano; nadzwyczajna poprawność stylu i łatwy, swobodny tok opowiadania młodego mistrza nie są improwizacyą.

Do niepospolitego wyrobienia formy artystycznej doszedł również Bourget w ostatniej swej powieści *Mensonges*. W poprzednich czuć było jeszcze dużo dyletantyzmu, dużo rozwlekłych epizodów, brak wypukłości w rysowaniu charakterów i zwięzłości w prowadzeniu akcyi powieściowej. *Kłamstwa* ukazują nam mistrza skończonego. W ramy te oprawił autor subtelną analizę psychologiczną, którą się tak świetnie już zaznaczył w szerszym zakresie swych *Szkiców psychologii spółczesnej*. Tam jednak było to psychologią wybitniejszych myślicieli i prądów społecznych; tu mamy psychologię charakterów, a raczej natur wyrafinowanych i złożonych. Główny bohater jest zresztą typem prostym. René Vincy — to młody poeta, wypieszczony przez kochającą go siostrę i wczesne powodzenie w zawodzie literackim, dzięki poparciu starszego kolegi i przyjaciela, Klaudyusza Larcher. Wszystko mu się uśmiecha. Do zupełnego zwycięztwa brak mu tylko jeszcze powodzenia w salonach, o czem marzy, i wśród dam światowych. Rozpoczynając skromnie stawiać pierwsze kroki na literackiej niwie, kochał skromną również dziewczynę, Rozalię Offarel, która gorącą mu odpłacała wzajemnością. Dla głośnego jednak i ambitnego autora, który jest nadto młodym, eleganckim i ładnym chłopcem, miłość taka bez blasków i gwałtownych uniesień nie wystarcza. Oddaje się natomiast całkowicie, z całym ogniem młodego uczucia, Zuzannie des Moraines, pięknej damie, którą spotkał na pierwszym wieczorze w wielkim świecie. Ognista ta miłość, lubo podzielana z niemniejszym zapałem, ma jednak zakończyć się pasmem gorzkich rozczarowań i bolesnych zawodów. Pani Zuzanna żyje otoczona wygodami i zbytkiem, na co składa się nietylko mąż, lecz i niejaki Desforges, człowiek już podżyły, lecz bogaty. Zuzanna jest jego metresą. Kiedy René dowiaduje się o tem, wybucha gwałtownie, walczy z sobą, chce wydobyć panią des Moraines ze stosunków, w jakich ona żyje; dama jegnak niezdolna jest zerwać z wygodami i pozycyą, jaką w świecie zajmuje; młody człowiek więc pakuje sobie kulę w serce. Szczęściem rana nie była śmiertelną. René nie jest postacią nader interesującą. Zbyt młody, z całym egoizmem wypieszczonego dziecka szczęścia, nie budzi więc wiele spółczucia. Depcze przytem lekkomyślnie szczere uczucie, które się starał obudzić, naiwnie zaś szuka go w świecie błyszczącym i zepsutym. Więcej już zajęcia budzi Larcher, literat, gorączkowo żyjący nerwami i zakochany namiętnie w niejakiej Colette, która go cynicznie zdradza i poniewiera, kocha jednak po swojemu. Pomimo poniżeń i upokorzeń Klaudyusz kocha gwałtownie tę kobietę i jest buntującym się, w końcu jednak zawsze ulegającym niewolnikiem jej i swoich nerwów. Typ to spółczesny i nawskróś paryski. Posiada on świadomość „świństw,“ które robi, nie ma jednak siły wydobyć się z więzów. Wyznaje to otwarcie księdzu Taconel w przypadkowej rozmowie. Autor wkłada pod koniec owemu księdzu własny niejako sąd surowy o całem tem życiu bez zasad moralnych, bez woli, na łasce kapryśnych namiętności. Jedynie chrześciańska dyscyplina mogłaby wycieńczonemu temu i osłabionemu społeczeństwu założyć wędzidła. Zdaje się to być ostatecznym wywodem powieści, lubo ludzie tacy, jak Larcher, nie mają żadnej ochoty zamienić jednego jarzma na drugie. Dla niewolników jednak, ludzi bez zasad i woli może to i lekarstwo...

O *Ziemi* Zoli pisano już wiele, zrobię więc tylko kilka, nieco spóźnionych, uwag. Narobiła ona dużo wrzawy, wywołała nawet protesty — niepodobna jej jednak, jak wszystkich powieści naturalistycznych, mierzyć jedynie większą lub mniejszą dozą nagości w niej zawartych. Z nagością tą publiczność, czytająca utwory tej szkoły, dawno już się oswoiła; we Francyi zaś panuje mniej w tym względzie obłudy, czy wstydliwości. Zdaje mi się, że Bourget powiedział w którejś ze swych powieści, że „wstydliwość kończy się tam, gdzie się miłość (nieobłoczna — oczywiście) zaczyna“ i maksymy tej trzymają się już dość dawno autorzy francuzcy, piszący o miłości, a któż o niej nie pisze? Co do *La Terre*, doza nagości tu może większa, niż w innych powieściach, nagość to jednak nie wyrafinowana i nie perfumowana, lecz prosta i brutalna, jaką bywa na wsi, między ludem. Namiętności grają tam żywo, a nadto Zola uosobił, swym zwyczajem, ziemię w postaci wielkiej macierzy rodzicielki, którą rolnik zapładnia i potem swym zrasza, ludzie więc na niej żyjący dotrzymują jej towarzystwa. Miłości, którą autor maluje, brak wprawdzie marzycielsko - idealistycznego nimbu, o ten jednak trudno na wsi i wśród ludu. Zbytecznem prawie dodawać, że

---

snął swe palące wargi do moich ust. Jak tylko zasłona spadła, wzburzona wstydem i złością zrobiłam gwałtowne wymówki memu partnerowi i pogroziłam mu, że jeżeli jeszcze raz ośmieli się powtórzyć swą bezczelność, to natychmiast grę przerwę.

Murzyn wyjąkał, że dał się porwać roli swej, że to się więcej nie powtórzy, żebym się uspokoiła...

Po ukończeniu trzeciego aktu zapukano do drzwi mojej garderoby; pokojówka moja otworzyła i w jednej chwili znalazłam się na piersiach narzeczonego. Mogłam mu zaledwie parę minut darować, ale kilka słów lorda Aston, wyrzeczonych do nadzorcy, wystarczyło, ażeby zapewnić memu narzeczonemu miejsce za kulisami. Skoro tylko dano znak do rozpoczęcia czwartego aktu, pożegnałam się z lordem Aston serdecznem uściśnieniem ręki, ale o mało nie wydałam głośnego okrzyku, gdym wchodząc za kulisy, spostrzegła zwierzęcy wzrok Bogumiła K., spoczywający na mnie.

— To stąd ta nieprzystępność, piękna Desdemono — szepnął mi na ucho— o, z temi kobietami, z ich fałszem i obłudą!

Podniesienie zasłony przerwało dalszą jego mowę, nie mogłam się jednak pozbyć uczucia trwogi, którego mię nabawił wybuch wściekłości jego i oczekiwałam końca przedstawienia. Jak zawsze, huczne oklaski nagrodziły oddanie pieśni Desdemony, ale gniotący mię ciężar nie chciał ustąpić i kiedy powtórzyłam słowa:

Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!
W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!
Zdrój mrucząc opodal, przywtarza jej jękom:
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Od łez jej gorących kamienie już miękną;
O wierzbo! wierzbo! wierzbo! *)

musiałam tak gorzko szlochać, że publiczność na nowo zaczęła rzęsiste bić oklaski, nie przeczuwając, że to, co się wydaje masie wzorową grą, wypłynęło z własnego bólu serca...

Ostatni akt rozpoczął się i postępował wśród milczenia publiczności. Nareszcie nadeszła chwila, kiedy Desdemona zostaje uduszona poduszką; wówczas rozległo się pukanie Emilii i kiedy za drzwiami krzyczała: „Panie, łaskawy panie, otwórz, otwórz“ — spostrzegłam... o wszechmocny Boże — co to było? Pomieszanie widniało w oczach Otella, a kiedy podniósł sztylet nad moją głową i straszliwym głosem wypowiedział te słowa:

Cóż to za hałas! Jeszcze żyje, dyszy,
Okrutnym wprawdzie, lecz i miłosierny;
Nie chcę przeciągać dłużej twoich cierpień — *)

to widziałam, że byłam w mocy obłąkanego i że wybiła ostatnia moja godzina!..

Zimne żelazo dotknęło moich ramion, wstrząsający krzyk rozległ się w całym domu i uczułam silny ból od ukłucia — ściemniało mi przed oczami i straciłam przytomność.

. . . .

Zaledwie po kilku tygodniach, podczas których leżałam w silnej gorączce, dowiedziałam się, jak zakończył się ten nieszczęśliwy wieczór. Skoro Emilia weszła na scenę, spostrzegła mój negliż nocny zalany krwią — straszny jej krzyk zadrżał w domu i kiedy mi dano pierwszą pomoc, waryat został (gdyż jak się okazało, nieszczęsny Otello rzeczywiście wpadł w obłęd) skrępowany i wyprowadzony. Zarodek choroby tej, jak się przekonano, od dawna nosił w sobie, ale objawy jej uważano za wybryki jego burzliwego temperamentu. Pchnięcie sztyletem było niebezpiecznem, ale silny upływ krwi i wzruszenie sprowadziły na mnie śmiertelną chorobę i dopiero po trzech miesiącach o tyle powróciłem do zdrowia, że mogłam pójść do ślubu z narzeczonym. Nieszczęśliwy artysta żyje do dzisiejszego dnia w zakładzie obłąkanych w B.; o ile dowiedział się mój mąż od jego rodziny, cierpiał on już w młodości swej na chwilowe obłąkanie. A teraz, panie Frank, gdyś usłyszał historyę moją, zrozumiesz, dlaczego nie mogę grać roli Desdemony?

Tłom. *S. D.*

*) Przekład Józefa Paszkowskiego.

przedstawiony przez autora stosunek Buteau i Jana do Franciszki z jednej, Hourdequina zaś do Jacqueliny z drugiej strony tchnie wielką prawdą życiową. Ta ostatnia jest wiejską Calottą z powieści Bourgeta. Dodawszy jeszcze, że Zola posługuje się w potrzebie językiem, jakim mówią na wsi, nie cofając się przed żadnem surowem wyrażeniem, wyczerpiemy „pornograficzną“ stronę powieści.

Nie należy jednak z po za drzew nie dostrzegać lasu. Po za tem maluje nam autor szczegółowo chłopa francuzkiego, dobierając barw raczej ciemnych i szarych, niż jasnych. A więc twardą dolę wieśniaków, ich chciwość do ziemi, wydzielonej skąpo i grosza, którego nie ma pod dostatkiem. Na tle tem występują swary rodzinne, kłótnie o schedy i działy, zawiść i egoizm, cała czereda wad, wyrosłych w ciasnej wieśniaczej zagrodzie. Po za nią dzieje się nie lepiej. Autor zapoznaje nas także z folwarkiem, sąsiadującym ze wsią Rogues, gdzie się akcya odbywa. Na folwarku prowadzi się gospodarstwo nakładowe, kapitały jednak utopiono w ziemi, która nie jest w stanie należycie ich oprocentować z powodu nizkich cen zboża. Mamy także sylwetki dwóch posłów, dbających jednak przeważnie o swą karyerę i kieszenie, mamy także trochę życia wioskowego, a wreszcie oderwane frazesy socyalistyczne i rewolucyjne, wychodzące z ust dwu nałogowych pijaków i włóczęgów, wypowiadane zazwyczaj tylko przy kieliszku. Na tem się ogranicza pierwiastek reformatorski powieści. Ciąży zresztą nad nią jak ołowiem szary jakiś i beznadziejny pesymizm, żadnego jaśniejszego promienia, żadnych widoków na przyszłość. W łonie natomiast tego bytu ludowego dzieją się różne zbrodnie i okrucieństwa, tak, że jeden z bohaterów, Jan, który dawniej służył wojskowo i przybłąkał się tylko do Rouges, jest nadto z pochodzenia robotnikiem wiejskim, rzuca z klątwą na ustach wieś, w której doznał wielu bolesnych zawodów i z ochotą zaciąga się znowu w szeregi, na pierwszy odgłos trąbki, nawołującej do wojny z prusakami. Na tem *Ziemia* się kończy.

E. Przew.

LITERATURA POLSKA.

Maryan Gawalewicz: *Filistry*. Powieść społeczno-obyczajowa. Tomów 2. Warszawa, 1888.

Snać bawidełka, któremi p. Gawalewicz zbogaca repertuar teatralny i nowelistykę, nie pochłaniają całej jego uwagi, skoro drugą już powieść szerszego pokroju w niedługim stosunkowo przeciągu czasu na świat wypuszcza.

Filistry odrazu uderzyć muszą czytelnika swem powinowactwem z *Gasnącą duszą*, od której poważniejszy ten rodzaj kompozycyi rozpoczyna się. Tam widziano artystę-rzeźbiarza, jak w otoczeniu żony i rodziny jej, niepojmujących posłannictwa wyższego i pracy dla idei — zmarniał i złamany duchem życia się pozbawił: dzisiaj roztacza się przed oczyma obraz mniej tragiczny, ale treścią bardzo a bardzo podobny. Młodzieniec, pełen popędów zacniejszych, marzy o pożytecznej działalności obywatelskiej, skierowanej na lud i ziemiaństwo. Duma wzniosła, artystyczna i szlachetna szamoce się jednak z niedostatkiem i niebezpieczeństwem utraty ostatniej piędzi ziemi, jaka mu ocalała z ogromnego majątku, przetrwonionego przez hulaszczego ojca. Ażeby siebie i sprawcę niedoli podźwignąć, postanawia ożenić się z córką bogatego dorobkiewicza ze sfery *Naszych zięciów*, pomimo, iż czuje wstręt do całej warstwy, że pojmuje jej nicość; przyszłej małżonki swej, choć w nim na zabój rozmiłowanej, nie kocha, a — co najważniejsza — pała gorącym afektem ku pięknej wdowie, duchem i polotem mu bliskiej, którą poznał na jednym z wieczorów u Krezusa. Nierozważnym tym krokiem rujnuje na długo szczęście własne i uwielbianej kobiety. Sam bowiem nie może przy ognisku domowem zapełnić pustki w sercu i tęsknoty za utraconym rajem odegnać; musi się trybem życia i zwyczajami dopasowywać do towarzystwa, w które wszedł; musi na wstępie karyery publicystycznej borykać się z samolubstwem, ciasnotą, filisterstwem teścia; nierozumiany ani przez żonę, ani przez żadnego z nowych krewnych zostaje śród nich obcym i misya jego nie postępuje ani krok, przynosząc zamiast laurów — ciernie. Jednocześnie więdnie i usycha nadobna wdówka, której namiętne uczucie złożono na ołtarzu celów publicznych; nie przestaje ona kochać bohatera i agitacyą jego interesować się, wybacza mu i niemal pochwala zyskowne małżeństwo.

Tak żyją zdala od siebie, rozdzielone setkami mil, dwie te natury bez określonych widoków jutra.

Przypadek zbliża je wreszcie — w Nizzy. Czcigodny finansista p. Fiszbaum, by oderwać swego zięcia od kłopotów i zmartwień w służbie obywatelskiej i kaprysom żony jego uczynić zadość, zabiera ich z sobą na południe. Znów nastaje wzajemne ku sobie ciążenie kochanków, chwilami grożące nawet starciem i skrzesaniem niebezpiecznego ognia: ale potężna wola kobiety uchroniła ją od pokus i zagnała, póki czas, w rodzinne schronisko, na stepy Ukrainy. Lacki zostaje, ale już nie rozpacza jak dawniej: szafirowe niebo i sine fale zatoki działają na nerwy kojąco — wpada w stan apatyi, półsnu, ale wolnego od wstrząśnień i wewnętrznej rozterki. Zresztą piękna połowica zaczyna rokować błogie nadzieje. Ostatnie nici, wiążące go z współszermierzami sztandaru, którego miał być chorążym — rwą się, natomiast wzrastają pieszczoty i nadskakiwania otaczającego go koła; w wygodach, dostatkach, przy suto zastawionych stołach i bogatej piwnicy płomień boży przygasa, duch gnuśnieje, z losem w układy wchodzi; nad wspomnieniem o zadumanych oczach i zbolałych rysach kochanki biorą górę pulchne ramiona i nóżki żony. Tamta może zamiera gdzieś w pustyni swego smutku i samotności — za całą pociechę mając tryumf uczciwości i cnoty — ta wstępuje we wszystkie prawa córy milionerów...

Gdy wreszcie, po powrocie do kraju, na balu kostyumowym u papy Rubelmachera, jeden z gości, dzielny a prawdomówny przyjaciel Lackiego, pod wpływem trunków szydzi z jego brzuszka i ogólnego stłuszczenia, ten słucha docinków spokojnie, z lekkiem tylko rozdrażnieniem — bo ich już prawie nie rozumie. A na bibce familijnej obok innych dwóch zięciów perweniusza i ich magnifik Lacki w niczem im już nie ustępuje ku ogólnemu zadowoleniu.

Powieść to, pomimo brzęków ucztowych, lśniącego zewsząd złota i dyamentów, pomimo woni specyałów gastronomicznych, przepysznych wil i komnat — smutna, bardzo smutna. Tu każdy okrzyk hulaszczy, każdy toast błazeńsko-wesoły znaczy zwycięztwo żołądka i kieszeni nad mózgiem i sercem. A posępny ten morał tak wyraził obcesowy druh bohatera:

„...Z tych tutaj nikt ci nie powie prawdy, bo to same filistry. Kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać, jak i one. Tu najporządniejszy człowiek musi przesiąknąć tą filisterską atmosferą i stracić węch. Zleniwieje, ociąży, skiśnie, zatyje, brzuch pod sam nos, a po za końcem nosa nic, prawda?.. no, powiedz sam, nie mam racyi?!! Filisterstwo jest, jak rak, nieuleczalne.“

W tych słowach, niezręcznie, niby pointa w melodramacie, objaśniających myśl przewodnią autora — tkwi prawda święta, tak samo, jak i w ich dalszym ciągu!

„Filisterstwo, to jest stłuszczenie ciała i ducha!.. ducha zatycie — rozumiesz?.. od tego się tak samo zamiera, jak od cukrowej choroby, z przepasienia... Im chodzi tylko o napychanie brzucha i kieszeni, słyszysz?.. tego im nie wyperswadujesz, ani ja, ani ty, ani nikt!.. bo im dobrze pływać w tym roztopionym łoju.“

Autor wyperswadował to wymownie, w bajce pięknej i zajmującej, jak żaden z dotychczasowych jego utworów — ale nie przekonał nikogo, że jednostka wyższego rzędu w warunkach takich zamienia niepokoje szatana na zadowolenie wieprza — i przekonać chybaby nie mógł. Jakaż to będzie podniosłość ducha, która się ulęknie tępych nagabywań rodziny, a dla wizyt porzuci pracę nad swymi ideałami? Człek, patrzący na społeczeństwo, nietylko okiem pasorzyta, człowiek *idei* nigdy zresztą nie sprzeda się żadnym Fiszbaumom, choćby miliardy mieli, a on sam cierpiał głód.

A jeśli w imię celu uświęcającego środki ktoś na krótko zaprze się swych ogólniejszych pragnień i w posagu widzi li pomoc dla ich ziszczenia — tego przecież ani karesy szwagrów, ani puchy łoża małżeńskiego, ani nawet kulinarne koncerty nie spodlą. To się zdarza tylko miernotom, ciurom idei, ale nie jej szczerym i powołanym bojownikom.

Lacki też do nich, wbrew zamiarowi autora, zgoła nie należy. To pospolity marzyciel salonowy, otoczony aureolą galanteryjnych zalet, jak zręczność w jeździe wierzchowej, wioślowaniu, jak znawstwo muzyki, dar władania pędzlem a nadewszystko — podbijania serc niewieścich. P. Gawalewicz odciął go od tła zwyczajnego w sposób szablonowy, w usta mu włożył paczkę frazesów, zamiast charakteru dał safandulstwo i wyszedł okazowy bohater romansideł, ale żadną miarą wyraziciel stronnictwa, walki lub postępu. Tylko niedołęga mógł sobie uroić, że warto odtrącić kobietę szczytną, do czynu zapalającą, dla oszczędzenia ojcu-lowelasowi przykrości. Wyrwanie kilku włók gruntu z rąk lichwiarskich czyż okupuje niezaszczytne, paraliżujące węzły z kliką bankierską? Lacki był pionem w rękach chciwców i próżniaków, woli ani za grosz niema od pierwszej do ostatniej chwili.

Filistry mówią nie to, co chciał powiedzieć autor, ale całkiem co innego: człowiek słaby, rwący się do lotu, ale bynajmniej nie orlego — w dostatkach, pożyciu małżeńskiem i w sferze głupiej marnieje sam. Nie ludzie, ale głównie warunki są wrogami pracy społecznej. Cóż zawinił Fiszbaum, że Lacka była apetyczną towarzyszką nocy, że Nizza działała rozleniwiająco, a obozy przeciwne paszkwilami odpowiadały na program dziennikarski Lackiego?

Rodowód postaci jakoś dziwnie zdaniu temu przychodzi w pomoc. Owo masło, w którem Lacki był pączkiem, autor fotografował z natury. Fiszbaum, jego żona, obie córki, a zwłaszcza zięciowie Krulle i Jerzbicki, ojciec bohatera, Sylweryusz, kreowany na marszałka wraz z całym kolorytem domu, wzorowani są na znanych w świecie pieniężnym osobistościach. Jak widzi się na ścianach zbiorowe odbicia całych rodzin, z okazyi srebrnego lub złotego wesela — tak tu odnaleźć można grupę prawdziwą. Patryarchę rodu wyrzeźbiono *con amore* — więc kopia wypadła doskonała, wierna aż do subtelności. Pewne rysy i pewne szczegóły życia znamienne, jak próżność, żarłoctwo, staranie się o legię honorową, radość z powodu „błogosławionego stanu“ córki — są podane subtelnie. Widocznie obserwacya bezpośrednia i bliskie obcowanie z modelami pozwoliły autorowi wybrać z pośród całej klasy kilkanaście osobistości szczególnie charakterystycznych i złączyć w jedno grono rodzinne. Gdyby można było ten żywioł wyosobnić i z ram powieści wyjąć, okazałby się lepszym od wszelkich sensacyjnych komedyj; gdyby autorem był umysł śmielszy i niecofający się przed satyrą dosadną a gryzącą — *Fili-*

-*stry* byliby zwierciadłem warstwy potężnej swym wpływem ujemnym, szkodliwością dla wszelkich pragnień szlachetnych.

A skąd się wziął Lacki? Już nie ze świata realnego. Nie słychać nigdy, ażeby do dzisiejszych Geldhabów, o ile zostają w granicach typu, lgnęli ludzie wybrani; zrujnowani pankowie, zidyociali hrabiowie i baronowie, w najlepszym razie tylko epikurejczycy — ale *nigdy* przedstawiciele inteligencyi wyższej lub obywatelskiego czynu. Autor *musiał* Lackiego wyłądz w swej fantazyi — bo na jawie nawet z latarnią Dyogenesa nie znalazłby go tam, gdzie szukał. Stąd postać ta ma wszystkie słabe strony wyssanego z palca pomysłu — jej związek z Fiszbaumami *musiał* się odbyć w powieści kosztem charakteru, który na samym już wstępie nie wróży nic dobrego. A przecież nie takim pewnie pragnął go pokazać czytelnikowi autor w początkach akcyi?

W *Gasnącej duszy* — dusza wcale niezapalona zgasła.

W *Filistrach* — dusza powszednia straciła wybitność.

Suma tych dwóch cudów najdokładniej chyba określa rodzaj talentu autora. Nie wzbija się on jeszcze do motywów silnych, do prawdziwego pojęcia heroizmu. To jeszcze żywioł miły, chwytający tłumy za serca, jak komedye Ohneta, ale dosyć pospolity. I w *Filistrach* mnóstwo jeszcze właściwych p. Gaw. efektów: przejażdżka łódką, *Romans* Rubinszteina, jako poseł miłości, bransoletka jako jej przypomnienie, kiosk i mostek elegancki, jako jej świątynia itd. Jeszcze przyzwoitość i cnota filisterska panują dokoła — ale już jest godna uwagi plastyka, jest niezły dramat miłości i zaród „społeczno - obyczajowego“ krytycyzmu.

Cezary Jel.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 10 lutego.

Niedawno rozmawiałem z pewną estetycznie wykształconą damą i przekonałem się, że zamożnemu człowiekowi bardzo ciężko żyć na świecie. Jeżeli ma własny dom — musi płacić raty Towarzystwu kredytowemu; jeżeli nie ma, musi drogo płacić za mieszkanie, bo przecie osoba z wyrobionym gustem nie może żyć w kącie. Dalej: trzeba koniecznie urządzić parę tańczących wieczorków — a ile to kosztuje!.. trzeba na każdy karnawał sprawić choć kilka sukien... Teatr, francuzkie *żurnale*... a i dobroczynność sporo zabiera grosza— co roku kilkanaście rubli, nie licząc wydatków na koncerty i bale dobroczynne...

Biedak ma prawo mieszkać w norze, balów nie urządzać, po kilka sukien nie sprawiać, ma prawo ubierać się nie podług *sezonu* i do teatru Panajewa nie jeździć, a główna — na dobroczynność nie daje, owszem jeszcze sam może otrzymać— najczystszy zysk.

Skończywszy, dama westchnęła, może pozazdrościła mizerakom ich doli?.. Nie, jest to pani bardzo szlachetna i brzydkiej zazdrości nie dopuści się.

Rzeczywiście — towarzystw dobroczynności mamy co niemiara. Oprócz ogólnych: stowarzyszenie tanich mieszkań, tanich obiadów, opieki nad sierotami żołnierzy, rozmaitych przytułków—są jeszcze i szczególne: między innemi Katolickie towarzystwo dobroczynności, w którem i nasi rodacy zaszczytne przyjmują udział: wnoszą składki, urządzają koncerty, bale i tym podobne igrzyska.

Powiedziałem *igrzyska* bez goryczy, bo dobroczynność nie winna, że estetyczna ludzka natura wymaga za swą uczynność widowisk. Jedna z osób, która nawiedza ciasne i ciemne zakątki biedoty, ma jakoby zamiar urządzić wystawę, na której będą zebrane wszystkie znamiona nędzy: więc łachmany, zgniła słoma, wilgoć, łzy, mary matek ze szkieletami zagłodzonych dzieci itp. Przewodnikiem po wystawie ma być Sawanarola. Widowisko z pewnością przewyższy wszystkie znane dotąd; brylanty, którymi chełpi się płeć piękna, padając u stóp kapłana, zmieszają się ze łzami niedoli i wytworzą takie chemiczne ciała, których piękno zaćmi najgustowniejszą suknię, najpyszniejsze *decolté*... Do oglądania tego dziwnego splotu dwu wręcz przeciwnych pierwiastków, rzucą się wszyscy łakomiej, niż do pana Masiniego.

Nim zaś to nastąpi, zadawalniamy się usiłowaniami kilku dobrych ludzi.

Jeślibym pisał historyę towarzystw dobroczynności, zacząłbym tak: W pewnym czasie dwie, trzy panie (i tyluż panów) uderzyła w oczy jakaś wyjątkowa nędza; pod wpływem wzruszenia postanowiły założyć towarzystwo. Wzięły się do pracy z zapałem i po kilku latach rozszerzyły swą działalność do tyla, że w kruchcie o połowę mniej było tłumu, a w szkole, na paru ławach siedziały dzieci wydobyte z rynsztoku. Nie dziw, że błogosławieństwa wykolejonych zaczęły coraz donośniej się odzywać, aż wynurzywszy się z warstwy kurzu, dosięgły „pałaców sterczących dumnie...“ I o to — jakaś pani X. leży na szezlągu, zatopiona w „uczuciowo-akuszerskim“ romansie francuzkiem, nagle do jej ucha dolata głos: „Niech będzie błogosławioną pani Y. za swe cnoty, starania, zabiegi...“

Jak to przyjemnie, gdy cię błogosławią— myśli Pani X.—dlaczegóżbym nie miała należeć do towarzystwa dobroczynności! Koszt niewielki, rozrywka, poważanie i błogosławieństwo. I pod wpływem tych szlachetnych, lecz niemiłosiernych myśli, wstępuje w grono pracownic.

Po niej rozmyśla pani Z. i czyni to samo. Ilość wezwanych urasta i gdy się zrówna z liczbą wybranych, pierwotny cel maleje, wszczynają się starcia, intrygi... Im kto mniej ma pojęcia o miłosierdziu, tem zawzięciej wysuwa się naprzód, by go wszyscy widzieli; aż wybrani jako skromniejsi oddają ster w ręce obce miłosierdziu. Nie mówię o naszych towarzystwach — tutaj takich mało!! Np. w katolickiem pracownicy trzymają się twardo na pokładzie okrętu, żagle w ich władzy. Prawda, u steru utarczki coraz częstsze, lecz ten, który odziewa lilie, nie opuści nędzarzy. Ufajmy, a będziemy zbawieni.

Sala Towarzystwa kredytowego nie zawsze zajęta sprawami o ratach nieszczęśliwców zamożnych; w niej dzieją się niekiedy rzeczy chlubniejsze—np. koncerty na dobroczynne cele, a w ostatnim czasie słuchaliśmy odczytów p. Spasowicza „O wpływie Byrona na Puszkina i Lermontowa.“ Sala, mieszcząca przeszło tysiąc osób, była prawie zapełniona.

Na pierwszym odczycie dowiedzieliśmy się, że tylko niektóre, początkowo, słabsze utwory Puszkina są przesiąknięte byronizmem („Szal czarny,“ „Jeniec kaukazki“). Za to osobisty, fantastyczny charakter anglika mocniej pociągał poetę. Starał się naśladować jego postępki, najbardziej wówczas, gdy był wysłany na południe i zdawało się mu, że doznał doli Byrona. Zresztą naśladownictwo nie udało się: wzgarda dla rodzaju ludzkiego ujawniła się tratowaniem tych, którzy i bez tego grzebali się w pyle. Niedługo to jednak trwało: mięka, poetyczna natura wzięła górę i Puszkin poszedł inną drogą.

Prelegent rozbierał kilka jego utworów: „Cyganie,“ „Eugeniusz Oniegin“ i inne pomniejsze. Zachwycał się stylem, pomysłami — nie bardzo.

W siódmym dziesiątku bieżącego stulecia, gdy literatura ruska przyjęła kierunek realny, Puszkina zapomniano, o poezyi mówiono, że jest zabawą pańską (Pisarew). Wówczas wszyscy stąpali dużymi krokami, lecz gdy spostrzegli, że zadaleko zaszli, że zostały niezapełnione luki — nastąpiła reakcya. Ogólny zwrot zaznaczył się egoizmem osobistym i narodowym. Turgeniew, Dostojewskij — zmaleli, Puszkin urósł. Ostatecznie prelegent wywnioskował, że wpływ Byrona na Puszkina był nieznaczny (ujawnił się jak kręgi na powierzchni wody, gdy w głębię kamień wpadnie), że się krzyżował z innymi wpływami (Szekspira, Danta), a jeden z wydatnych utworów poety „Sztylet“ jest naśladowaniem André-Chéniera. Jako osobistość Puszkin zarysował się niestałym, wrażliwym, pod działaniem rozmaitych czynników zmieniającym rytm pieśni. Jako talent — poetą pierwszorzędnym.

Drugi i trzeci odczyt mówił o wpływie Byrona na Lermontowa.

Prelegent opisał młodość poety, czynniki, które zrodziły w nim pesymizm (rodzinne niesnaski, młodzieńcza miłość), poczem przywodził urywki z rozmaitych pisarzów europejskich, których porównania i całe okresy Lermontow wniósł w swe utwory. Mówiąc o wzniosłym poemacie „Demon,“ co „jest jednym z najwspanialszych kwiatków romantyzmu w całej Europie,“ p. S. wynajdywał źródło tematu poniekąd u Puszkina w maluczkim utworze o demonie zatargów człeka, poniekąd u Alfreda de Vigny, w jego łzie przekształconej na kobietę-anioła, którą duch zła wiedzie na pokuszenie. O narodowym poemacie „Kupiec Kałasznikow“ z czasów Jana Groźnego prelegent wspomniał pobieżnie, przyznając, że jest nawskroś oryginalnym i może służyć za wzór, jaką byłaby poezya Lermontowa bez wpływu Byrona. Miałaby ciaśniejsze granice, lecz głębsze nurty.

Jako romantyk Lermontow w niektórych odcieniach — podług p. Spasowicza — był większym byronistą, niż Byron. Jeżeli — rzekł p. S.—nazwiemy Byrona promieniem, w którym się mieszczą wszystkie kolory tęczy, Lermontow był takim przedmiotem, który zatrzymuje tylko niektóre barwy, lecz za to one występują żywiej, wyraziściej. W jego obrazach nie ma mowy o subtelnych rysach, lecz przedmiotów znajdujących się na płótnie chyba ślepy nie dojrzy.

Streściwszy kilka wydatniejszych poematów, prelegent dłużej się zatrzymał na „Bohaterze naszych czasów.“ Przyznał, że jako typ Pieczoryn wyżej stoi od Oniegina, Puszkina i zaznaczył, że w tej powieści Lermontow jest realistą, nieustępującym w niczem szkole dzisiejszej.

Koniec końcem dziwną jest postać pisarza, co naśladował Byrona, zapożyczał urywki a nawet tematy (!) a jednak został samym sobą. Utworzył fantastyczne-romantycznego „Demona,“ narodowego „Kupca Kałasznikowa“ i realnego „Bohatera naszych czasów,“ który do dziś jest żywotnym. Jeżeli pominiemy inne utwory, między którymi prelegent słusznie znajdował niemało godnych zachwytu — dosyć mu starczy, by stanąć w poczcie „wielkich duchem.“

O osobistości poety i jego wpływie p. S. sądzi, że najwyrazistsza barwa utworów — pesymizm czytelnika nie przygniata; owszem wręcz przeciwne sprawia wrażenie. Prelegent objaśnia tę pozorną sprzeczność metafizycznym odcieniem pomysłów; nie mistycznym, lecz owym. co wlewa myśl w każdy przedmiot, co każe tęsknić ludzkiej duszy za wyżynami, które porzuciła, lub do których dąży. Nie są to wyżyny Olimpu, bo poeta nie wierzy w nie, nie jest to i panteizm, lecz szczyty ducha, tęsknota do idealnych ludzi, idealnego bóstwa.

Gorycz i niezadowolenie Lermontowa pochodziły nie z otoczenia, lecz z walk wewnętrznych — chciał, lecz nie mógł kochać ludzi. Zmienny w miłości, szukał jej nie sercem, lecz dumą: chciał, by go kochano, by przekładano nad innych; osiągnąwszy cel, pogardzał nim i bolał... bolał, że nie umie kochać, że jest samolubem. W tym

względzie p. Spasowicz porównał go z Chateaubriandem, zastrzegając, że ten ostatni wcale nie dręczył się, bo nic rozumiał, że jest egoistą.

Ruska mowa p. Spasowicza dźwięczy akcentem białorusińskim. Ci, którzy nie znają języka polskiego, sądzą, że jest to akcent polski.

B.

PO ŚWIECIE.

III.

Byron uwielbiony i Byron wzgardzony. — Katedra dantejska. — Rozburzmy piekło!

Parsknąłby nam anglik w oczy swym najgrubszym śmiechem, gdyby się dowiedział, z jaką pompą święciliśmy jubileusz Byrona: pamiątkowe numery dzienników, skarbce pereł, mozajki... I *za co?* — zapytałby z grymasem Żydowina. Hm... za co! Chwilę stalibyśmy zakłopotani. Ale nie! Za tych kilka ciepłych słów — przebrzydły kupcze, w *Don Juanie, Wieku brązowym, Mazepie*; toć dostateczny powód ubóstwiania tych, co nam choćby sprzyjali... tak ich niewielu!

Ba, ale miary, miary potrzeba. Za lat dziesięć setna rocznica urodzin Mickiewicza; jakże tego uczcicie? Najgodniej; wybierzemy nowiutki komitet do zastanowienia się nad możliwością sprowadzenia pałki dyabelskiej z Pieskowej Skały pod Ojcowem na piedestał pod pomnik i zburzenia Sukiennic, aby poeta nasz stanął na miejscu najgodniejszem. Nie od ulicy Szewskiej... tegożby jeszcze brakowało, aby go wzięli szewcy za patrona! Nie od Maryackiego kościoła: przecież śpiewał w *Dziadach*:

Nie uwierzę, że mi sprzyja
Jezus, Marya!

W środku rynku stanie, głową świątynię pańską przeniesie: w tej głowie latarnię morską urządzić można dla epoki, w której, jak utrzymują geologowie, morze znów w te strony podpłynie. Skoro tak, rzecze anglik, spieszyć się trzeba, aby was potop nie zaskoczył bez latarni; przyślemy wam naszych inżenierów.

Mimo wszystko, zimną wodą na nasz zapał jest fakt, że w Londynie obchodzono uroczystość Byrona jedynem nabożeństwem, które w swoim kościele odprawili... grecy. Dzienniki literackie wspomniały o jubileuszu ostentacyjnie trzema liniami i to w „Wiadomościach bieżących“; dzienniki polityczne rzuciły mu kilka słów pogardy; dzienniki ilustrowane odbiły ów niecznośnie idealny portret młodzieńczyka z rozwianą chustką i czupryną — i na tem się skończyło. Nie można takiej jaskrawej różnicy dwu obchodów brać na karb naszego płochego „zapędzenia się“ a angielskiej obojętności; przyczyna ich głębsza, a mianowicie ta, iż dla nas był Byron siłą dodatnią: pobudził twórczość naszych poetów do wielkiego ruchu, uszanował wobec świata nasze ideały — podczas gdy dla Anglii jest on zawsze negacyą narodowych skłonności i dążeń: konserwatyzmu i utylitaryzmu; siłą burzącą, nie zaś twórczą i skupiającą, jak Wordsworth i Tennyson, istotni patroni Anglii w XIX w.

Jednym szydła golą, drugim i brzytwy nie chcą: Giordano Bruno nie doczeka się na swój jubileusz pomnika. Municypalność Rzymu umyślnie zwleka, studenci wyprawiają prof. Bonghiemu skandaliczną i prawdziwie barbarzyńską demonstracyę, za co im zamykają uniwersytet; król się gniewa, Watykan tajemniczo się uśmiecha. Drugi złośliwy uśmiech wywołuje mu na usta niedoszła katedra dantejska. Wiadomo, że istniał już w XIV w. rodzaj katedr dantejskich: pierwszy Bokacyusz wykładał *Boską komedyę* w jednym z kościołów Florencyi. Chcąc odnowić tę tradycyę, łącząc ją z innym jeszcze celem, rząd włoski ofiarował projektowaną katedrę jednemu z najzasłużeńszych „Dantyszków,“ poecie Carduccie-mu, twórcy niewinnej w gruncie, a okrzyczanej przez tych, którzy jej nie znają lub nie rozumieją — „Ody do szatana.“ Działo się to właśnie w czasie gorączki watykańskiego jubileuszu — rząd mniemał, że Carducci podniesie tendencyjne znaczenie Danta jako wieszcza jedności Italii i karciciela Rzymu. Carducci katedry nie przyjął; nie jakoby zapierał się sławnych strof przeciw Rzymowi w *Piekle* i *Czyścu* komedyi, ale iż je doskonale rozumiał, iż nie pojmował Danta nigdy inaczej, jeno jako katolickiego teologa, choć był stronnikiem białych i przeciwnikiem polityki papieża Bonifacego VIII. Rzecz bo ciekawa, co porobiono z Danta! Był monarchistą i zagorzałym stronnikiem cesarza, a zrobiono go republikaninem, z niego poczęto ideę jedności Italii; był katolikiem, a zrobiono go protestantem; był Wergilianinem, a zrobiono go romantykiem. Carducci nie lubi takiego „krasomędrkowania“ — jak powiada Rej z Nagłowic — on pierwszy zwrócił studya dantejskie na tory czystej krytyki i sztuki. Odmówiwszy obecnie katedry, której projekt tem samem nadal upada, przyjął przecież propozycyę szeregu konferencyj, z których pierwsza odbyła się w sali uniwersyteckiej d. 8 stycznia. Poeta, choć nie z najznakomitszych oratorów, umiał przecież zachwycić audytoryum i dziś Dante wszedł poprostu w modę; rzymskie panie poczynają po raz pierwszy znać historyę Franceski z oryginału.

Za co ona biedaczka w piekle zamknięta i to w tak niedobranem towarzystwie, jak Semiramidy?.. Patrzcież, dobre panie, za pocałunek jeden i tak bez winy!

Amor, che al cor gentil ratto s'apprende...

więc na cóż dał jej Bóg serce tak szlachetne, jeżeli miał powieść ją na zgubę? Chodzę ja po tem piekle (darmo się na mnie miotają złe duchy, dziś już nie zastraszą) i widzę, że nietylko na ziemi krzywdzi fanatyzm zacnych i rozumnych. Za mną panowie bracia, rozbijmy czarne wrota z ponurym napisem i niech wyswobodzeni bohaterowie, filozofowie i pocci starego świata poplyną w przepaści piekielnych kręgów niosąc wieść pomyślną: *Libertà libertà!* Bieży stary Homer i Hektor o lśniącym szyszaku, Sokrates i Platon! Stary turek gładzi brodę i uśmiecha się. Nie dano wam czytać Alkoranu, więc słuchajcie: „W środku stoi wysoka jabłoń granatu; na gałęziach granatu nieśmiertelne ptaki, zajęte pogłądaniem wzniosłych wierszy boskiego Koranu... (Masz tobie, szepnąłem — więc niema takiego nieba, któreby się bez glupstwa obyło?..). Liście drzewa podobne są do uszu słoniowych, a owoce słodsze od mleka; jedyny wystarczyłby dla wyżywienia przez jeden dzień wszystkich istot wszystkich światów. Każde ziarno zamyka w sobie hurysę; te boskie dziewice przeznaczone są na nieustającą rozkosz wiernych. Są czworakiego gatunku: białe, różowe, żółte i zielone. Ich czarodziejskie ciało ma przezroczystość kryształu; oczy ich tak piękne, że gdyby która z nich zwróciła wzrok na ziemię w najciemniejszą noc, rozświeciłaby ją żywszem światłem, niż słońce w swym najjaskrawszym blasku. Ślina jednej Huri wystarczyłaby na uczynienie morza słodszem od miodu. Hurysy poddają się pieszczotom wiernych, nie tracąc nigdy swej dziewiczości“ *). Patrzcież — myślę ja sobie — toć jeżeli zasłużyły na jaki, to na taki raj i powinny zażądać między hurysami miejsca (gdyż niestety o kobietach pospolitego gatunku, jako o istotach bez duszy Alkoran w raju Mahometa nie wie) dwie sławne wieszczki naszych czasów, które ślubowały obie wejść do trumny w takim stanie, w jakim weszły do kolebki. „Wieczne dziewice,“ jedna czerwona z Francyi, druga biała z Polski (w pieśni); obie dziś zestrzelone; jedna z widowni poetyckiej, druga z politycznej. O łabędzia Wandy śpiewaczko, tam tylko jedynie urzeczywistnisz ideał swój. Wiecznie w ekstazie być i wprawiać w ekstazę.

Lecz nie wyjdziemy z piekła tego, nie rozpętawszy najzacniejszych. Na samem jego dnie, w samym środku ziemi tkwi, połową ciała między dwie półkule chwycony, w lodzie zakrzepły Lucyfer, ogryzający naprzemian Brutusa i Judasza sprośnemi szczękami. Porzuć wstrętną pastwę i weź na się dawną postać znów — piękny, dumny światłości aniele; Judasza zdepcz, ale szanuj Brutusów, niech idą z tryumfalnym naszym chórem. Ty zaś sam na przedzie bież i na zdobytem niebie nowemu światu zaświeć jutrznią swobody, wesela i piękna, Prometeuszu chrześciański.

Egrot.

*) Przekład *Widzenia raju* Mahometa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mefistofeles karnawału ukazujący widmo ofiar. — Konające dziecko i zrozpaczona matka pod tańczującemi nogami. — Kto może być znieważony czynnie. — Dramat w psiej budzie. — Bohater dla sądów. — Unieważnienie testamentu. — Cudowne pomysły w oszczędnościach kolei Nadwiślańskiej. — Sprzedaż Zakopanego. — Pomnik dla Z. Krasińskiego. — Załatwiona sprawa.

Mefistofeles karnawału, długo ze złośliwym uśmiechem przysłuchiwał się sporowi prawno-moralnemu między oskarżycielem i obrońcą nóg zapustujących, nareszcie ukazał im w oddali bardzo piękny i wymowny obrazek. W jednym z domów przy licy Nowogrodzkiej — opowiada *Kuryer warszawski* — państwo K. urządzili na drugiem piętrze zabawę tańcującą. Gdy wesołe grono ludzi „pogodniej patrzących w przyszłość“ walcowało z podniesionym humorem, o piętro niżej konał na zapalenie płuc synek państwa M., drzy którym targała się w bezsilnej rozpaczy nieszczęśliwa matka. Tupot i dźwięki muzyki, spadające przez cienki sufit, doprowadziły biedną kobietę do strasznego rozdrażnienia. P. M. udaje się na górę i prosi o zaprzestanie tańców — gospodarz odmawia.. Nareszcie chłopczyna umiera w chwili, gdy na drugiem piętrze rozpoczęto mazura. Zdawało, się, że matka przy zwłokach dziecka wpadnie w obłęd. Mąż jej biegnie znowu na drugie piętro i przedarłszy się gwałtem do salonu, woła: „Na miłość boską przestańcie, bo mi żonę zabijecie!..“ Tańczące pary stanęły, ale „gniewny gospodarz przystąpił do p. M. z zamiarem wyrządzenia mu *czynnej* obelgi.“ Wstrzymano go — goście rozeszli się — ale nam pozostał — ciekawy temat rozmyślań. Więc człowiek, który przed chwilą stracił dziecko, a dzięki hałasom karnawałowym może stracić żonę, ten męczennik, którego bolesnym wykrzykom urąga chór zapustny, nie ma *prawa* prosić sąsiadów o przerwanie tańców bez narażenia się na „czynną obelgę“? No, to lepiej zapakować manatki i połączyć się z powracającymi do Afryki aszantami, niż żyć w takiej „cywilizacyi.“ Tam niema „królowych balu,“ „dzielnych rejowodów,“ wspaniałych biustów i toalet, ale przynajmniej umierającym i cierpiącym nikt nad głową nie tańczy. Przestrzegamy, ażeby nie dręczono przy zabijaniu zwierząt, ażeby nie przeciążano koni, ażeby nie tępiono kuropatw, a któż założy towarzystwo opieki nad ludźmi? Nie będę okrutnym i nie życzę Fikalskim, ażeby sami umierali lub tracili kogoś pod sufitem huczącym karnawałową zabawą; ale życzę im, żeby kiedykolwiek musieli być świadkami takich

męczeństw. Może wtedy sami wyciągnęliby ręce do kodeksu i błagali go, ażeby im spętał nogi.

Nam się zdaje, że posiadać księgarnie z obfitym zapasem powieści, literackie salony, strojne damy, złotą młodzież, koncertantów itp. to jest cywilizacya. W tem złudzeniu niepomiernie nas dziwi a nawet do odporu „szkodliwych prądów“ pobudza, gdy ktoś żąda, ażeby wyszlamowano nasze sadzawki, osuszono i oświetlono piwnice, usunięto zdziczenie i nędzę z tych pokładów, które gniją i cierpią na dole społeczeństwa. Kronikę „ożywionego“ karnawału wyilustrowały pisma drugim równie ciekawym obrazkiem. W domu przy ulicy Długiej zmarli nagle stróż z żoną. „Z przeprowadzonego na razie śledztwa — mówi sprawozdanie policyjne i reporterskie — okazało się, że Pachliccy zajmowali izdebkę podobną do *psiej budy*, niewłaściwie przeznaczoną podczas zimy na mieszkanie dla ludzi. Stanowi ona rodzaj alkowy ogrodowej, a co gorsza— znajduje się na *głównej rurze gazowej*. W nocy rura pękła, a gaz przez szczeliny dostał się do wnętrza izdebki. Widocznie Pachlicki obudził się, czując niebezpieczeństwo, i ubrawszy się chciał wyjść na powietrze; lecz siły go zawiodły i upadł na kuferek pod drzwiami.“ Ofiarą tegoż samego losu i „oszczędności“ gospodarza padłoby również dwoje dzieci, lecz z powodu jakiejś „gorączkowej choroby“ (można dostać gorączkowej choroby w budzie na rurze gazowej!) przeniesiono je dnia poprzedniego do krewnych. *Kuryer* poleca ów dom uwadze komisyi sanitarnej, a dzieci opiece miłosiernych; mnie się zdaje, że przedewszystkiem właściciela kamienicy należałoby polecić opiece sądu. Obok odpowiedzialności karnej, powinien on być pociągnięty do cywilnej — do pieniężnego wynagrodzenia sierotom rodziców. Gdyby taki jegomość musiał złożyć 10,000 rs. na ich korzyść, usunąłby psią budę i stał się przykładem dla innych. Jeżeli zaś niedawno pewna kolej ruska z wyroku sądowego zapłaciła kilka tysięcy rubli maszyniście, okaleczałemu wskutek złego nastawienia zwrotnicy, to dlaczegóżby nie dało się osiągnąć takiej samej sprawiedliwości dla sierot, które nielitościwy kamienicznik pośrednio pozbawił rodziców? Trudno wymagać od tego drobiazgu, a nawet od jego opiekunów, ażeby dochodzili krzywdy umarłych i żywych; ale czyż nie znajdzie się między adwokatami naszymi ani jeden, któryby im podał rękę? W tego rodzaju wypadkach przydałoby się nam nieco krwi francuzów, a raczej paryżan. Oni umieją na prędce stworzyć trybunał opinii i zyskiwać dlań ramię trybunału sądowego.

Opinia! W idei platońskiej jest to bogini piękna i rozumna, ale ile razy wymówię ten wyraz i wspomnę o rzeczywistości, zdaje mi się, że gęstym rojem obłazi mię głupota, bezmyślność, najrozmaitsze kaprysy i wszelkie robactwo, które u nas z tego gniazda po świecie się rozłatuje i pełza. Nakoniec rozstrzygnięty został długoletni proces o częściowe unieważnienie testamentu Sierakowskiej, która swój majątek zapisała na cele użyteczności publicznej. Korzystając ze słabości w obmurowaniu legatu na jednym punkcie, spadkobiercy podważyli go ze strony formalnej i zrobili wyłom. Skoro senat, a za nim Izba sądowa w ponownem rozpoznaniu przyznały im słuszność prawną, nie myślę jej zaprzeczać, pomimo przeciwnych wyroków sądu okręgowego płockiego i tejże Izby przy poprzedniem wyrokowaniu. Również nadmienić winienem, że zwycięscy spadkobiercy część łupu, mianowicie 100,000 rs. odstąpili instytucyom dobroczynnym. Jednocześnie wszakże wyznaję, że wtedy dopiero chciałbym obalać testamenty moich krewnych, przekazujących swoje majątki biednym, kiedy nie uczuwałbym skrupułu w wypróżnianiu sakw żebrakom na publicznych drogach. Jest to gust parafiański, w najlepszym razie sielankowy, pensyonarski albo staropanieński — być może, ale wydrzeć go z mojej natury nie mogę. Gdyby nawet jakiś mój bogaty krewny zapisał swoje dobra dla wypasania w nich zużytych koni dorożkarskich, a skreślił swoją wolę palcem na zapoconej szybie, niech będzie spokojny, że mu tego testamentu dla siebie nie obalę. Co najwyżej będę wymagał od wykonawców, ażeby obok starych koni dopuścili do użytkowania z majątku także wysłużonych pierwszych kochanków scen ogródkowych lub „oszczędzonych“ urzędników kolei Nadwiślańskiej.

Przedziwna ta droga — jak o tem dowiecie się w artykule sąsiednim — wynalazła nadzwyczaj dowcipny sposób oszczędzania i zwiększania swego ruchu pasażerskiego: zażądała od stacyj meteorologicznych odpowiedzi na pytania dotyczące stanu pogody. Zdawałoby się, że ma ona jakieś cele naukowe, ale ponieważ wszystkie jej myśli i uczucia należy odmykać kluczem „oszczędności,“ więc pozwolę sobie objaśnić jej zagadkową ciekawość następującem przypuszczeniem. Prawdopodobnie wyda ona służbie rozkaz niemarnowania ciepła, o ile ono zasila się środkami kolei. A więc np. konduktorzy będą obowiązani przy 5 stopniach ciepła nie używać szynelów, a przy 10 — butów; dróżnikom będzie wolno nakrywać głowy czapkami tylko przy bardzo mocnych mrozach itd. Jeżeli więc stacya meteorologiczna doniesie, że dnia pewnego była pogoda z 10 stopniami ciepła, a jednocześnie śledztwo okaże, iż dnia tego nie obsługiwali konduktorzy pociągów boso — nastąpi kara lub dymisya.

W taki to sposób meteorologia znajdzie zastosowanie praktyczne na drodze Nadwiślańskiej. Czy droga ta, która proponuje lekarzom służbę za bilety wolnej jazdy, nie posunie swych oszczędności dalej i tymi biletami nie będzie wynagradzać konduktorów i maszynistów — ręczyć nie mogę; ale za to ręczę, że jej ruch pasażerski wkrótce szybko się wzmoże. Gdy siądę do wagonu, spodziewam się, że siedmiu moich współtowarzyszów przedstawi bilety wolnej jazdy, a jeden z nich będzie honorowym lekarzem kolei, drugi — honorowym naczelnikiem, trzeci— honorowym buchalterem, czwarty— honorowym adwokatem, piąty — honorowym inżenierem, szósty — honorowym zawiadowcą, siódmy — honorowym telegrafistą. Meteorologia więc jako kontrola, honor — jako tytuł, a bilety wolnej jazdy — jako ruble złożą się na ten genialny system gospodarki oszczędnej, który już odpowiednio został opatentowany.

Podobnym systemem kierowali się galicyanie, którzy długo odgrażali się, że za pieniądze z publicznych składek kupią Zakopane i darują cesarzowi austryackiemu z prawem polowania w Tatrach. Ponieważ czyn ten miała urodzić słynna lojalność mężów, którzy „twardo stoją i stać chcą,“ a na manifestacye polityczno - dynastyczne nie żałują pieniędzy, sądziłem, że to zamiar poważny. Tymczasem uroczą miejscowość kupił niemiec Goldfinger niemal bez współzawodników. A gdzież się podział „fundusz krajowy,“ Towarzystwo tatrzańskie, sejm, pałacyk myśliwski dla cesarza i stypendya dla uczniów? Zdaje mi się, że te nieszczęsne stypendya wszystko pogrzebały. Gdyby powiedziano: arcyksiążę Rudolf chce przyjechać do Zakopanego i polować na kozice — niewątpliwie kupionoby mu te dobra. Ale skoro do przedsięwzięcia przyplątały się stypendya, a więc kształcenie młodzieży, oświata, pożytek społeczny — na takie zbytki galicyanin nigdy czułym nie był. Stańczycy też prawdopodobnie nie pobłogosławili pobożnego życzenia, zatem spełnić się ono nie mogło.

Ich kardynał, hr. Tarnowski Stanisław pobłogosławił natomiast inny projekt — wystawienia w Krakowie pomnika Zygmuntowi Krasińskiemu. Projekt bardzo piękny i do wykonania łatwy. Tu bowiem już nie potrzeba zbierać składek publicznych, lecz tylko odwołać się do rodziny Krasińskich. 100 lub 200,000 zł. r. — to drobiazg, lżejszy dla niej, niż dla mnie i dla ciebie czytelniku kupienie łokciowej kolumny z czekolady. Wdzięczni też powinniśmy być hr. Tarnowskiemu, że tę myśl rzucił na serca spadkobierców i krewniaków Zygmunta, którzy rozporządzają milionami. Nie licząc ordynacyi, sam p. Ludwik Krasiński zpewnością chętnie da na pomnik kilkadziesiąt tysięcy guldenów. Jest to sprawa niemal załatwiona i winszujemy hr. Tarnowskiemu, że mu się tak udało. Wprawdzie będziemy mieli nowy kłopot z konkursami, rozpocznie się w mniejszych i większych komitetach druga praca Penelopy, bez końca snuta i pruta, ale rzecz główna— fundusz jest i zapewne znaczniejszy, niż dla Mickiewicza. Czego wy, czytelnicy tak się śmiejecie?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Lekarze honorowi. — Zainteresowanie się szlachty ludem. — Kilka przykładów zbytu chłopskiego. — Okrucieństwo i współczucie. — Strach przed zwierzęciem mówiącem. — Kwestya uleczalności apatyi szlacheckiej. — Precz z tradycyą!—Jak się w Mławskiem dziewice bawią? — „Gęganie“ radomskie.—Nawoływanie p. Lecha. — Cierpienia ludzkie przy 24[0] Reaum.

Dla stłumienia płaczu trzeba wywołać śmiech. Kolej Nadwiślańska zapożyczyła mimowolnie tej metody od niańek: wycisnąwszy zrozpaczonym mnóstwo łez, zaciera przykre wrażenie humorem... oszczędnościowym. Cała linia ma kilku lekarzów, którzy na każde wezwanie, pierwszym pociągiem towarowym lub osobowym obowiązani są spieszyć z pomocą. Nadto są felczerzy, apteki. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że doktor nie może się utrzymać z nędznej pensyjki, więc musi szukać praktyki pobocznej ze szkodą swoich chorych. Budnik przykuty do miejsca, jeśli zachoruje, nie ma prawa opuścić stanowiska, choćby lekarz obcy mieszkał o kilka staj. Daje znać swemu, który właśnie w tej chwili może mieć pobocznego pacyenta o kilkanaście wiorst od domu. Co robić, w razie nogi odciętej lub ręki złamanej? Pocił się nad tem długo zarząd drogi, aż wreszcie wpadł na świetny pomysł. Rozesłał lekarzom prywatnym okólnik takiej treści: Czyby pan sobie nie życzył przyjąć tytuł *lekarza honorowego* kolei Nadwiślańskiej, a zarazem i następujących obowiązków: dawać porady u siebie w godzinach oznaczonych, udzielać swej pomocy w razach nagłych na całej przestrzeni oddziału, jak również na stacyach w czasie przejazdu, a za to wszystko otrzyma bilet wolnej jazdy (!) na całej długości kolei. Oprócz tego potrzeba się stosować do wszelkich rozporządzeń kolejowych, a zatem odczytywać cyrkularze itd.

Brawo! Za bilet wartości *kilkunastu rubli rocznie* lekarze wziąwszy na siebie jarzmo „wszelkich rozporządzeń kolejowych“ porzucą swoich chorych i jazda sto wiorst! Ale jak? Przypuśćmy, otrzymuje depeszę: „proszę natychmiast przybyć pociągiem towarowym nr X. na stacyę lub do budki Y.“ Wezwany wsiada do specyalnego wagonu; przestrzeni tam jest cztery łokcie wzdłuż i wszerz, jedna wązka ławeczka na dwie osoby i fotel z desek na jedną. Zwykle mieści się tam czterech podróżnych. Przy ścianie stoi piecyk z pojedynczej blachy, rozpalający się do czerwoności. A więc z jednej strony piekło, z drugiej—zimno, wiatr świszczący przez drzwi i okna. Zwykły śmiertelnik nie zna takich przyjemności; są one przywilejem doktora, księdza i miejscowej służby niższej. *Gazeta lubelska* zapy-

tuje, czy pomysł powyższy jest oszczędnością, czy próbą wyzysku? Sądzę, że na to każdy czytelnik sam łatwo odpowie.

Nigdy nie stawałem do żadnych konkursów. Tym razem ośmielam się zaproponować drodze Nadwiślańskiej ten, dziś powszechny sposób. Na początek sam, bez koperty i godła podaję wniosek: wydalonych dotąd przyjąć do służby i zamiast pensyi dać im bilety roczne z prawem wyjeżdżenia pobieranej płacy. Kto ma dzieci, niech je rozsyła po wagonach z pomarańczami, jabłkami, papierosami, jeśli które z nich posiada zdolności artystyczne, niech rozwesela podróżnych. Konduktor nie wyrzuci tych przedsiębiorców, gdy mu bilety przedstawią. Może kto się zdobędzie na lepszy pomysł; jeśli nie— to mam nadzieję, że na konkursie kolejowym otrzymam nagrodę: bilet wolnej jazdy.

List p. Chrzanowskiego z Dzierzązny wywołał wielkie zainteresowanie się szlachty ludem. Do *Wieku* posypały się opisy gospodarstw włościańskich z rozmaitych stron. Jeśli to pobudzenie prędko nie osłabnie, może się zebrać pożyteczny materyał. Tymczasem zaciekawiają mię różnorodne poglądy korespondentów: w jednem miejscu chłop oszust, zbrodniarz, zepsuty do szpiku, mściwy, wybijający okna drągami, niszczący przez zemstę zasiewy cudze; na nic wszelkie starania umoralnienia; będzie on na wieki bydlęciem. Gdzieindziej: przedsiębiorcy, rzutki, uczynny z pierwiastkami uczuć szlachetnych. Da się coś zrobić z niego! Dowiaduję się nowej rzeczy, że w kraju południowo-zachodnim nie ma proletaryatu bezrolnego, lecz jest *proletaryat rolny* (!). Mnożą się tam kapitaliści siermiężni. Taki jeździ zwykle z furmanem, gości ze sfer wyższych rad przyjmuje, częstuje nalewką i herbatą z rumem, lubi zapolować w kompanii, a więc ma psy myśliwskie, każdy interes obejmuje i załatwia szybko, na wszystkich jarmarkach obecny i czynny. Żydzi go otaczają tłumnie, wchodzi z nimi w interesy i spekuluje, ale się okpić nie da. Dalej na wschód ten gatunek chłopów zyskał popularną nazwę „kułaków.“ Lud podolski nazwał ich dowcipnie „majstrami.“ Dziwna tam ogarnia włościan gorączka wydzierżawiania ziemi, pomimo utrudnionych warunków. Dawniej brali grunty za piątą część plonów, potem za trzecią, obecnie dzierżawcy oddają nietylko połowę lecz w wielu miejscach dopłacają po rublu od morgi i podlegają najściślejszej kontroli w uprawie, obsiewie dobrze oczyszczonem ziarnem itd. Wytężenie w jednym kierunku osłabia cały ich organizm gospodarski. Nie mając odpowiednich narzędzi i inwentarza, zamiast zysku ponoszą wielkie straty. Inaczej w Augustowskiem (w okolicach Wiłkowyszek i Władysławowa). Włościanie na większych koloniach mają młocarnie i sieczkarnie, te ostatnie można znaleźć nawet u mniej zamożnych. Są pośród nich specyaliści, którzy chodzą od wsi do wsi i przerabiają maszyny ręczne na konne, po pięć rubli od każdej. Wielu oddaje synów do szkół. Gospodarz na 34 morgach ziemi, pomimo że spłacać musi sukcesorów z kolonii, dba o umysł swego dziecka, nie szczędząc kosztów. Duch pobożności tkwi w nich silnie, a więc najczęściej z pod strzechy chłopskiej ksiądz wyrasta. Wielu wszakże skończywszy cztery lub pięć klas zrzuca mundur uczniowski, a nakłada dawną siermięgę, aby pracować na roli. Bodaj, że tacy są pożyteczniejsi od pierwszych. Sutanna oniemśla kmiecia; całuje on rękę „dobrodzieja“ i spowiada się z urzędu, lecz nie roztworzy przed nim całej swej duszy. Przed obcym inteligentnym człowiekiem jest również skrytym, niedowierzającym. „Uczony“ towarzysz przy pługu i kosie może cudów dokazać śród ciemnych swych braci.

Korespondenci ciskają klątwy na ogół ludu za następujące fakty: jakiś wyrodek wyrzucił na mróz chorą najemnicę. Inny, wdowiec, chciał się ożenić z młodą dziewczyną, lecz ta postawiła mu warunek: pozbyć się dwojga dzieci z pierwszej żony. Konkurent zawiózł maleństwa do lasu i zostawił je w śniegu. Znaleziono potem skostniałe dwa trupy. Dziewczynka troskliwa o braciszka owinęła go chustką swoją i fartuszkiem. Skonały przytulone do siebie. Dla takich potworów za mało byłoby wszelkiej kary. Ale, pocieszmy się, pośród inteligencyi dzieją się czasem nie mniejsze zbrodnie. Że lud obok dzikiej natury posiada w wysokim stopniu uczucia szlachetne, nie raz już były dowody, a oto jeszcze świeży, za których prawdziwość świadek solennie ręczy. W gminie Nagłowice (pow. Jędrzejowski) wdowa Wojciechowa Wicińska, utrzymująca się z pracy rąk własnych, wychowała syna kalekę, otaczając go najtkliwszą macierzyńską czułością. Dość obejrzeć tego biedaka, aby cześć oddać wielkiemu sercu jego rodzicielki: głuchoniemy, z okropnie pokrzywionemi rękami, bez żadnej władzy w członkach. Karmić go można z wielką trudnością, gdyż ma wadliwą budowę szczęki. Trzydzieści lat matka go nie odstępuje i nie złorzeczy. A oto czyn całej gromady. W Stopnickiem pewien obywatel nie mając wyjścia z fatalnego położenia, postanowił ziemię lub las sprzedać. Przed tem wezwał włościan i wyjawił otwarcie swój stan. Ci nietylko że nie skorzystali z łatwej sposobności zrobienia dobrego interesu, lecz postawili tak umiarkowane warunki, że sam właściciel widząc za wielką swą korzyść, z własnej woli obdarzył ich naddatkiem. Wincenty Pol życzył „szlachcie narowistej“ rozumu chłopa. Jabym ze swej strony dodał życzeniu jego serca i charakteru w wielu razach... Dostałby ataku apoplektycznego, gdyby usłyszał tę moją herezyę ziemianin z nad Bugu, który woła: „mieć już nie za sługę i robotnika, ale za sąsiada, za współpracownika na jednej i tej samej ziemi istotę, różniącą się tylko mową od zwierzęcia, to byłoby okropne (!!). Szczęście, że w okolicach tego przedstawiciela rasy przedniej, różniącej się czemś więcej, niż mową od zwierząt, mieszkają sąsiedzi na włókach, morgach, a nawet i zagonach, „którzy zawsze są ludźmi, pracują, czują i myślą.“

Jakiś żółciowy szlachcic z Pułtuskiego (w *Gaz. roln.*) wymyśla od gryzipiórków, gryzmolińskich i pismaków za „znęcanie się“ nad klasą rolniczą, za jej chowanie żywcem. „My tylko — twierdzi — chorujemy na uleczalną apatyę.“ Medycyna w ostatnich czasach dowiodła, że nima prawie choroby, któraby nie była uleczalną, ale tylko w zarodku. Gdy przejdzie w stan przewlekły, największe starania nic nie pomogą. Zdaje mi się, iż rzeczona apatya jest już od lat wielu w tej groźnej fazie. Nawet, nie wiem, czy skuteczniem będzie gorliwie zalecane swym braciom przez autora *samolubstwo*, osłonięte powagą Smidta. Z naszych rolników mało kto wie o tym ekonomiście i jego zdaniu, że każdy człowiek powoduje się wyłącznie swoim własnym interesem; popierając go, mimowoli popiera interes innych. Pomimo jednak nieświadomości uprawiają teoryę samolubstwa w ściślejszem znaczeniu. Korespondent fukający na tych, co się ważą dotykać jego klasy, sam ułatwia sposobność po temu, podając takie fakty: Jeszcze 8 czerwca 1886 r. podczas wyborów w Łomży na wakujące posady do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego stowarzyszeni przedstawili projekt o zmniejszeniu stopy procentowej kar od rat zalegających w opłacie, tj. zamiast pobieranych obecnie 12% na 6% w stosunku rocznym. Nadto wniesiono dwa inne projekty ekonomiczne. Jakiż rezultat? Mandataryusze wówczas wybrani, którzy ów projekt również podpisali, nietylko skutecznie go nie przeprowadzili (korespondent wątpi, czy próbowali), ale nawet nie raczyli zawiadomić przez prasę lub w drodze prywatnej swoich wyborców, jaki obrót nadano tej sprawie. Tylko tyle wiadomo, że instytucya kredytowa posiada ogromne zapasy pieniędzy i dotąd ściąga 12%. Za uchybienie zaś pierwszej raty wystawia na sprzedaż majątki. A więc *dwudziestomiesięczna* apatya! Czy ją zaliczyć do uleczalnej?

Brzydka ta choroba miewa przebieg ostry w Mławskiem, gdzie gorliwi o zdrowie starają się jej pozbywać jak najprędzej. Przedewszystkiem wyłażą ze starej, rozpadającej się skorupy, a wyjrzawszy na świat, podziwiają swą poprzednią ciasnotę pojęć o szlachetnych i nieszlachetnych rodzajach pracy. „Niedawno — jeden z nich się przyznaje — łokcie i funty były u nas w pogardzie, kupca uważano za *coś* w rodzaju człowieka, ale niezupełnego, bo mu brakowało... tradycyi szlacheckiej, bo był infamisem we własnej rodzinie. Dziś przesąd ten znika.“ Brano się zrazu niezdarnie. Właściciel ziemski, nieobeznany z fachem, najczęściej tracił na sklepie, bo albo sprowadzał rzeczy niemające wielkiego pokupu, albo trzymał sklepowę z miasta, na której wygórowaną pensyę szedł cały zysk. Rządząc się zgubną teoryą wielkich procentów ziemianin sprzedawał towary tak drogo, że okoliczni mieszkańcy, wliczając nawet koszt furmanki, sprowadzali tańsze z miasteczka o kilka mil odległego. Początkujących wielka zasługa, że się nie zrazili niepowodzeniem. Z czasem nabrali wprawy i teraz tryumfują z trzech powodów: że zwyciężyli trudności, że wypierają żydów, że zyskują zaufanie publiczności wiejskiej. Urządzają się bardzo praktycznie: towary biorą za gotowy grosz i to wprost z fabryk, nie wstydzą się wraz z całą rodziną stać za kantorkiem, odgadłszy potrzeby okolicy, sprowadzają tylko, to, co ma zapewniony szybki zbyt, wreszcie zadawalniają się małemi odsetkami, przyczyniając się przez to do taniości wszelkich produktów. Ale nie koniec na tem. Górą Mławskie pod innym względem! Okolica ta bardzo uboga w młodzież męzką, a bogata w szesnastoletnie panny. Zdawałoby się, iż w takich warunkach biedactwa muszą wiecznie wzdychać i marzyć o rycerzach zaklętych za siódmemi morzami i siódmemi górami, którzy kiedyś przebrną przeszkody, aby dziewice uszczęśliwić. Tymczasem, o dziwy! Istotki te utworzyły sobie biblioteczkę na wspólny koszt, ale jaką? może z romansidłami o przygodach nadzwyczajnych, rozdymających chorobliwie wyobraźnię? Gdzież tam? Księgozbiór ten składa się z Drapera, Spencera, Huxleya, Baina, oraz innych powag naukowych i literackich. Szczupła garstka młodzi gatunku brzydkiego rumieni się w rozmowie z dziewicami, bo jej mózgi za płytkie. Na mocy praw psychologicznych przypuszczam, że z czasem jałowość zniknie pod przewagą miłości własnej. Powyższy piękny przykład polecam uwadze radomian, gdzie jakiś *Zniechęcony* uskarża się w miejscowej *Gazecie* na „gęganie“ w salonach, to jest rozmowę o niczem lub o poziomych drobnostkach życia. Boli to bardzo piszącego, że zebrania tamtejsze umierają na suchoty i stają się tylko konieczną formą niezrywania stosunków. „Nie miejcie więc pretensyi — woła— że uciekamy od towarzystw. Nie nasza to wina. Raczcie panie nadać inny kierunek waszym zebraniom, a zobaczycie, że wszyscy chętnie garnąć się będziemy. Wszak można wziąć za przedmiot rozmów świeżo przeczytaną (?) książkę, nowelkę, artykuł poważniejszy, wypadek społeczny. Wybaczcie! To nie stary zgorzkniały kawaler wylewa swe żale. My chcemy życia, światła i powietrza w waszych salonach, a znajdujemy stęchliznę, zmrok i... *gęganie.*“ Dzielny to musi być człowiek, który na partykularzu z taką odwagą występuje, chociaż może być pewnym, że go wszystkie „towarzystwa“ wyklną.

Bieda latem ukryta, wylazi teraz z nor wszelkich, aby swym widokiem roztkliwić wrażliwych i zirytować obojętnych. Do

pierwszej kategoryi należy p. Bogusław Lech, kronikarz *Gaz. lubelskiej*, który niewiele sam mogąc, nawołuje płeć piękną do niewielkiej ofiary — urządzania herbat rannych dla biedaków. Będziemy mieli sposobność dowiedzieć się, w jakim stopniu jest rozwinięta wrażliwość sercowa lublinianek. Są miejsca, gdzie straszne cierpienia ludzkie nie mogą mieć rozgłosu, bo ich prawie nikt nie widzi. Zwabieni przez kogoś robotnicy z Płockiego, przenieśli się na Wołyń i osiedli obok kolei żelaznej na pustkowiu leśnem. Pobudowali chatki mizerne z gałęzi sosnowych, gliną oblepionych. Siedzą tam z liczną dziatwą, pozbawieni zarobków, żywiąc się tylko kartoflami. Śniegi przy mrozie 24-stopniowym zasypały ich nory. Szczęście, że obok leży mnóstwo drzewa z lasu wykarczowanego. Odziani w łachmany, drżący od zimna, ojcowie rodzin z nadludzkim wysiłkiem ściągają pnie, aby rozpalić ogniska dokoła. To ich ocala. Są litościwi, co odgrzebują nędzarzów i ubrawszy w ciepłą odzież, przywożą do siebie. Były wypadki komiczne, zdradzające niepochlebne cechy ludzi. Jakiś obywatel w Berdyczowskiem, wyjechawszy w okropną zamieć do sąsiadów, zabłądził. Rozpacz go ogarnęła, już stracił nadzieję ratunku. Wtem widzi coś czerniejącego. Podjeżdża— sterta zboża, więc ją podpala bez namysłu. Wzbiła się łuna, a jednocześnie ozwały się wołania, coraz głośniej i bliżej, wreszcie ocalony widzi swoją służbę folwarczną. Poznał, że jest w pobliżu domu i podpalił stertę własną. Boleść nietajona ścisnęła mu serce.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Dla wierzycieli ziemskich. P. H. Wiercieński nadesłał warszawskiemu Tow. przemysłu i handlu projekt w sprawie spłacenia przez skarb państwa długów właścicieli ziemskich zapomocą nieprocentowanych biletów bankowych. Według tego wniosku Bank państwa, rozszerzając zakres działalności, mógłby łatwo udzielać pożyczki na gospodarstwa wiejskie, na gwarancyę ich wartości. Oto punkty: 1) ażeby skarb państwa podjął operacyę spłacenia wierzycieli ziemskich przynajmniej do wysokości $^2/_3$ wartości danych gospodarstw rolnych; 2) aby do tego użyć nieprocentowane bilety bankowe; 2) ażeby właściciele ziemscy opłacali skarbowi 1% za usługę im oddaną, nadto 1—2% rocznie za częściową amortyzacyę.

Projekt reformy leśnej w gub. lubelskiej i siedleckiej wchodzi w czyn o tyle, iż świeżo przybyli urzędnicy otrzymają nowe etaty, pewna zaś liczba dawniejszych obejmie nowe posady z dotychczasową pensyą.

Przy departamencie dochodów niestałych ministeryum skarbu utworzyła się komisya, mająca zająć się kwestyą poparcia handlu wywozowego spirytusu.

Warsz. Dniewn. pisze, iż do Warszawy przybył pełnomocnik jednej z największych firm handlowych [moskiewskich] dla zbadania, w jakim stanie znajduje się obecnie handel herbatą w Królestwie. Pełnomocnik orzekł, iż urządzenie w Warszawie wielkiego składu głównego herbaty w dobrym gatunku o cenach normalnych ściągnęłoby znaczną liczbę nabywców.

Cenzura dramatyczna. *Praw. Wiestnik* ogłosił spis utworów dramatycznych, które wolno wystawiać w teatrze pod warunkiem wyrzucenia pewnych ustępów. Między innymi są następujące: *Egmont* Goethego, *Don Karlos* Schillera, *Powieść zimowa* Shakespeare'a, *Edyp Król* Sofoklesa, *Gniazdo szlacheckie* Turgieniewa itd.

W Krakowie utworzył się komitet w celu wzniesienia pomnika dla Zygmunta Krasińskiego.

Wołga z Donem ma być połączona kanałem długości 80 wiorst. Koszt wyniesie 18 milionów rubli.

Ogromny zapis. Zmarły w Paryżu przemysłowiec Godin zapisał robotnikom swoim (dla których założył „familistéres") połowę swego majątku, wartości 16 milionów fr.

W Hann w Niemczech, w fabryce prochu nastąpił wybuch. Zginęło czterech robotników. Na krótko przed wypadkiem zakład zwiedzała komisya, która orzekła, że wszystko jest w porządku.

W Anglii zawiązała się spółka udziałowa do wywozu mięsa, głównie wieprzowiny z Rosyi do Niemiec i Anglii. W Połtawie bawi przedstawiciel stowarzyszenia Roleman, b. profesor hodowli bydła w szkole rolniczej w Charenchester. Podobno kilkudziesięciu ziemian gub. południowo-zachodnich skłonił już do udziału w przedsiębiorstwie.

Ministeryum oświaty pracuje nad projektem zakładów naukowych dla techników ze średniem wykształceniem.

Now. Wremia donosi, iż w ministerym dóbr państwa rozbieranym jest projekt zaludnienia koloniami ruskiemi okręgu batumskiego.

Komunikat. *Praw. Wiestnik* ogłasza: „Umieszczona w nr. 4272? gazety *Nowoje Wremia* wiadomość o powiększeniu opłaty za wykłady w uniwersytetach o 50% w stosunku do obecnej jest pozbawiona podstawy, ponieważ żadnych rozporządzeń o zwiększeniu opłaty w uniwersytetach, rządzących się ustawą z r. 1884, nie wydano obecnie i niema zamiaru takiego w przyszłości.

Konkurs na dzieło popularne „o ubezpieczeniu od ognia" ogłosiła *Gaz. sądowa*. Nagroda 100 rs. Autor zatrzymuje prawo własności literackiej. Nadto redakcya ofiaruje gotowość wydrukowania za zwykłem honoraryum wyjątków z pracy. Pożądaną jest książka niezbyt obszerna, któraby mogła służyć za praktyczny przewodnik, przeważnie dla nieprawników. Powinna przedstawić istotę kontraktu ubezpieczenia i podać uwagi o zawieraniu umowy o ubezpieczenie i o likwidacyi szkód pogorzelowych. Mają być przytem rozpatrzone różne rodzaje ubezpieczeń ruchomości i nieruchomości (rolne, fabryczne, handlowe i zwykłe domowe). Dalej: wyjaśnienie odnośnych przepisów ubezpieczenia rządowego miejskiego w Warszawie, oraz ustaw i warunków polisowych tych towarzystw, które działają w naszym kraju. Wreszcie należy rozebrać szczegółowo ostatni akt ubezpieczenia, tj. kwestyę wypłaty wynagrodzenia. Termin do 1 stycznia 1889 r. Rezultat konkursu ogłoszony będzie przed 1 lipca 1889 r.

Bibliografia polska. H. Mohn. *Zasady meteorologii*, w sposób dostępny przedstawione, tłom. St. Kramsztyk (*Bibl. przyrodn. Wszechświata*) str. 316 z drzeworytami. Książka bardzo użyteczna, gruntowna i jasna.

— *Rocznik* Towarzystwa ogrodniczego za r. 1887.

— F. Czarnomski, *Wpływ wapna na rolę* (odbitka z *Gaz. rolniczej*), str. 63.

— A. Jurgielewicz, *Wskazówki metodyczne* do nauki języka ojczystego w ogólności, a do czytania w szczególności, str. 57. Podawany przez autora sposób żyłowania umysłu dziecinnego ze wszystkich szczegółów po przeczytaniu jakiejś rzeczy byłby dobrym, gdyby nie był zbyt nudnym. Dziecko nie wytrzyma go.

— W. Feldman, *Piękna żydówka*, powieść, str. 213.

Od Redakcyi Encyklopedyi wychowawczej. „Na list p. Trawlińskiego, zamieszczony w nr. 6 *Prawdy*, zawiadamiający publiczność, iż artykuł „Francya," wydrukowany w „Encyklopedyi wychowawczej" (t. IV, zeszyt IV), odznacza się krytyką klerykalnego zakroju, niemającą z pojęciami jego autora nic a nic wspólnego, redakcya „Encyklopedyi" uważa za właściwe oświadczyć: 1) że autor artykułu „Francya," objaśniony, iż nadesłana przezeń praca jest w części swojej historycznej, jako artykuł informacyjny dla potrzeb szkoły dzisiejszej, za obszerna i potrzebuje skrócenia; 2) że pogląd jego jednostronny, pomijający szkoły prywatne z charakterem chrześciańskim, wymaga uzupełnienia, bez którego obraz dzisiejszej edukacyi we Francyi byłby niedokładny — uznał za usprawiedliwione zasady, które dla potrzeb społeczeństwa naszego i edukacyi młodzieży redakcya „Encyklopedyi" za podstawę wydawnictwa w programie swoim przyjęła i upoważnił redakcyę do poczynienia zmian w rękopisie, jeżeli się te okażą potrzebne. Wobec bezwzględnego stanowiska autora nie można było uniknąć uzupełnień i dopisków, które sprawę edukacyi w dzisiejszej Francyi w prawdziwem przedstawić mogą świetle. Skoro jednak redakcya poglądy swe wyraźnie w rzeczonym artykule zaznaczyła nawiasem, cudzysłowami i własnym podpisem, jak się o tem przekonać można na stronicach 271—272, oraz 289—290 t. IV, zeszyt IV, przeto i przekonania autora w zupełności uszanowane zostały."

Zmarli. Augustyn Szmurło, pisarz i znakomity filolog. Urodził się w Lubelskiem 1821 r. Na koszt skarbu kształcił się w Moskwie, gdzie zwrócił uwagę niezwykłą zdolnością. Wróciwszy do kraju jako kandydat filologii, otrzymał miejsce nauczyciela języków starożytnych w gimnazyum 2-m w Warszawie. Następnie był starszym nauczycielem w gimnazyum gubernialnem. Od r. 1854 wykładał języki starożytne w Instytucie szlacheckim, w lat kilka później w Akademii duchownej objął katedrę literatury greckiej i rzymskiej, wreszcie został profesorem łaciny i greki w Szkole Głównej, a potem adjunktem ostatniego z tych przedmiotów. Należał do twórców wydziału oświaty, razem z Wyzińskim i Przystańskim odnośne projekty opracował. Jednocześnie był przełożonym 1-go gimnazyum na Nowolipkach. W ostatnich latach miał własną szkołę, gdzie wykształcił wielu ludzi, pracujących dziś na różnych polach, między nimi dwóch na literackiem. Wydał wiele rzeczy specyalnych. Ważniejsze: „Gramatyka łacińska," „O kulturze Grecyi," „O dziejowem stanowisku klasycyzmu," „O nauczaniu gimnazyalnem." Ostatnią pracą był przekład Iliady.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Młod. człow. Pytanie jest postawione tak nieściśle i nienaukowo, że odpowiedzieć nie możemy.

P. M. Kow. Historya literatury niemieckiej Klugego i Koeniga.

Pytającemu. Odezwa nasza w sprawie ubogiego studenta instytutu technologicznego odniosła już skutek, gdyż pewna zacna kobieta żądane rs. 200 mu wypożyczyła. Żądanych więc objaśnień Panu nie udzielamy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

W. S. rs. 5 dla Marcinkiewiczowej.

Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs 20. D. Z. z Łukowa rs. 5.

Sprostowanie. Do artykułu „Echa mesyanistyczne" (ciąg I) wkradły się następujące błędy korektorskie: Str. 67, szp. 1, wiersz 14, zamiast *Bogusława*, powinno być *Boguchwała*; w. 2 od dołu, zam. *w dziejach*, czyt. *o dziejach*; szp. 2, w. 25, zam. *śmiały*, czyt. *światły*; w. 13 od dołu, zam. *odbija się*, czyt. *odbija*; szp. 3, w. 45, po wyrazie *orędownikowi* opuszczono *teutonów*; str. 68, szp. 1, w. 3, zam. *Jana z Ostroroga* czyt. *Jana Ostroroga*; w. 21, zam. *związków* czyt. *zawiązków*; w. 44 zam. *mądrości duchowej* czyt. *mądrości duchownej*; w. 20 od dołu po wyrazie *klasyka* opuszczono *jako*; szp. 2, w. 19 od dołu, po wyrazie *główne* opuszczono *i*, a przed tym wyrazem niepotrzebnie umieszczono przecinek; w. 7 od dołu, zam. *wieku*, czyt. *wieków*, zam. *wiarę* czyt. *winę*.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Февраля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.